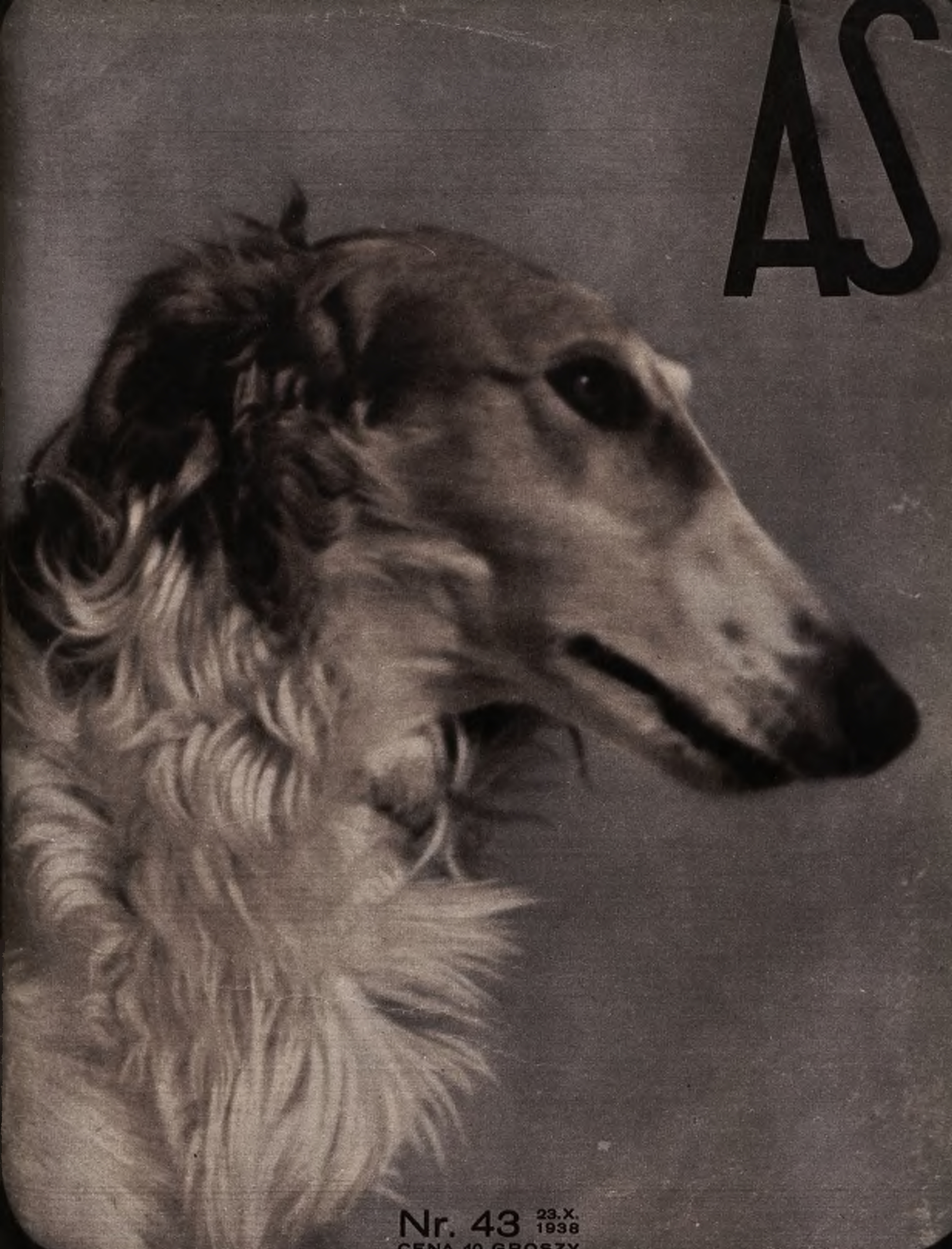
# AS



Nr. 43 23.X.1938
CENA 40 GROSZY

**LORD**

Fot. H. Waghalter — Berlin

# Romantyczka

★

## SZKIC

### HANNA KŁOSIŃSKA

Pani Nina Łuszczewska, sawantka i romantyczka, której Neapolitańska Akademja Literacka „Il Saggio Collegio d'Arcadia" nadała zaszczytny i obowiązujący tytuł „Saffo Mitilanea", do której śpiewał „sam" Regaldi „O Donna che l'Italia hai nella mente" — i pan minister Łuszczewski, czuli się oboje nadmiernie wzruszeni, wprowadzając w świat swą córkę Jadwigę. Dziewczątko weszło do salonu „w pierwszej długiej sukni, białej, z okrągłą, przejrzystą pelerynką, która u piersi spinała się na kokardę blado-lila", w fryzurze à la Jeanne d'Arc, to jest z włosami, zwieszonemi wkoło głowy i podwiniętemi w lekki pukiel.

Weszło i usiadło w kącie salonu, za wysokim fotelem, prawie niewidoczne i z biciem serca przysłuchiwało się rozmowom dyplomatów i poetycznym dyskursom, jakie wiodła urocza maman ze swymi adoratorami. Maman była urocza, ciągle jeszcze młoda. Córka napoleońskiego generała „wrócona cudem na Ojczyzny łono", wyrosła w cieniu wielkiej legendy, w renesansowej atmosferze Italji, gdzie minęły jej lata dziewczęce, zaprzyjaźniona z połową wykwintnej Europy, poślubiona dyrektorowi przemysłu i handlu Księstwa Warszawskiego, Wacławowi Łuszczewskiemu — była typem wielkiej pani i z niebywałym wdziękiem prowadziła w Warszawie salon literacki. Na jej sławnych „poniedziałkach" skupiało się wszystko, co tylko było w Warszawie uczonego, mądrego, wytwornego. „Tout Varsovie" bywała na wieczorach pani Niny, na których czytywano niedyskretnie wiersze, jakimi Poggiolini i Rosa Taddei sławili czar i rozum gospodyni. Więc maman brylowała czarem kultury i wiecznej kobiecości, usuwając coraz bardziej w cień wysokiego fotela, to swoje niepokaźne dziewczątko, uczesane à la Jeanna d'Arc. A dziewczątko samo wyznaje z pokorą: „Byłam dla rodziców w owym czasie powodem niemałego zmartwienia: wszystkie moje domniemane talenta jakoś nie chciały dotrzymać obietnic". W dzieciństwie miała panienka wielkie zdolności do muzyki, ale teraz „palce nie chciały słuchać uszów", a nauczyciel fortepianu imć pan Józef Sikorski ręce łamał z rozpaczy, pytając: „Czy mi uczenicę zamieniono, czy co?". To samo było z poezją. Oporna muza zmuszała Jadzię do ślęczenia po całych dniach nad arkuszami papieru, ale z tego ślęczenia rodziły się zaledwie czterowiersze. I to jakie! Boże się pożal! „Już niemal w kolebce posiadałam poczucie rytmu, a teraz, o zgrozo! Musiałam częstokroć na palcach obrachowywać zgłoski, bo nie czułam dobrze ich liczby.

Jakże się martwić musiała „Saffo Mitilanea" tem „beztalęciem" pannicy.

Tymczasem przyszłość miała przejść najśmielsze marzenia i ambicje maman. Pewnego dnia dziewczątko napisało wiersz. I to jaki wiersz! Najprawdziwszy! P. t. „Krucjaty", przedrukowany natychmiast w „Gazecie Warszawskiej".

Wobec tego, już w najbliższy poniedziałek, a było to 17 maja 1852 roku, panienka z szafirowemi oczyma, wysunęła się z za swojego fotela na środek romantycznego salonu, ubrana w tunikę grecką z powłóczystem, wierzchniem okryciem à la Rachel, którego białość „walczyła o lepsze z białością lica".

Generałowie, dyplomaci i poeci zauważyli, że była urocza i mogła się podobać, zwłaszcza, że rumieniła się tak rozkosznie, aż do szkarłatu, że Skimborowicz uważał za stosowne zanotować ten rumieniec, zaś znakomity artysta dramatyczny, Józef Komorowski, zapytał jej, jak sama przysięga, bardzo, bardzo nieśmiało:

— Panno Jadwigo, czy zamiast pisać mogłaby pani, jak ongi Sarbiewski i Niegoszewski, a teraz pan Adam Mickiewicz, sławny nasz poeta — wiersz improwizować?

— A o czem? — spytała przerażona dziewczynka.

— Najciekawszym podobno tematem do improwizacji, byłoby wypowiedzenie, czem jest sama improwizacja.

— Spróbuję — szepnęła.

Spróbowała i poszło. Odtąd już szło coraz lepiej. O sztuce, o wiośnie, o malarstwie, o muzyce, o gniewie żywiołów, o przyjaźni. Dwóch tylko tematów unikać będzie poetka: narodowego i romansowego, jako, że oba mocno niebezpieczne i dla jej lat siedemnastu nieodpowiednie.

Improwizowała w natchnieniu i na zamówienie, ze szczęścia i ze smutku, na tematy własne i podyktowane. Stała się sławna, modna, uwielbiana, jak wszyscy ludzie jej czasu „chwytając się poezji, jako najłatwiejszego sposobu zostania wielkimi, nie wiedząc, że to właśnie najtrudniejszy". Niewiele sobie robiła z tego, że tam czasem niejaki pan Szujski ironicznie pisze to i owo o ludziach, mających w sercu „śmiertelnego mola poetyczności", wołając: „nieszczęśliwe i zgubne natury poetyckie, dusze bez dna i spokoju, ludzie, którzy się spalili w ogniu poezji, jak komary w świecy, chorowici poeci życia". A o niej samej z przekąsem: „Kazano jej np. improwizować o Wawelu, ona zaczęła mówić o górze Sinai, a skończyła na Golgocie, kazano jej mówić o kamieniach, ona zaczęła o diamencie, a kończyła na kamieniu filozoficznym: o sztuce, a ona wyrecytowała lekcję estetyki". Napróżno grozi pan Szujski, że najsmutniejszą jest śmierć moralna przez poetyczność. Niech grozi! Deotyma — bo taki wymyślono pseudonim dla panienki w greckiej tunice, umiera z ochotą „śmiercią moralną przez poetyczność" na poniedziałkowych sympozjonach mądrej maman. Opala sobie opalowe skrzydła z powodzeniem i w licznej asyście warszawskiej society.

Nawet z dalekiego Lwowa, bez paszportu, piechotą, przekradnie się przez granicę rosyjsko-austrjacką uczeń gimnazjalny, by posłuchać jej improwizacji i tejże jeszcze nocy puścić się w powrotną drogę. A kiedy się zważy, że uczniem tym był Kornel Ujejski, sukces to niebylejaki! A czyichż-to hołdów nie zazna romantyczka? Paweł Popiel, gen. Morawski, margrabia Wielopolski, Józef Gołuchowski, biskup Łętowski, Henryk Rzewuski, Aleksander Tyszyński, zjeżdżają po szóstnemi karocami, by oglądać to dziwo. Cały „hajlajf" naukowy i literacki leży u siedemnastoletnich stóp Deotymy. Eleonora Ziemięcka w szkatułce z laki przyśle dziewczątku wianuszek wawrzynowy, który jako „pierwszy" przyjęty zostanie ze wzruszeniem. Potem przyjdzie czas na hołdy Odyńca i pana Krasińskiego, wreszcie ulegnie czarom i sam pan Mickiewicz i do nieznanej dziewczyny będzie wiersze pisał, nazywając ją w nich „wieszczką Krzyża", bo akcent religijny dominował, stosownie do pseudonimu, w improwizacjach Deotymy.

Nic dziwnego zatem, że rośnie w dumę i pewność siebie, panienka, ukrywająca się do niedawna w bezpiecznym cieniu matczynego fotelu. Zato ambitna maman traci głowę. Przed każdą improwizacją ucieka do trzeciego pokoju, przytrzymując bijące serce i modląc się za Deotymę, a ojciec, któremu uciekać „nie wypadało", na cztery ręce, do spółki z gośćmi zapisuje improwizacje córki.

Wreszcie papa zdobędzie się na heroiczną wprost odwagę i zawiezie swoją wieszczkę do Karlsbadu i innych zagranicznych badów, do Paryża, Krakowa, Poznania. Chce jej pokazać świat i ją światu.

Na jedno z takich przyjęć w Poznaniu, u Niegolewskich, zaprosi nas Nowaczyński i jak tam było opowie. „Soirée było wieczorem, oczywiście nie żadna five'o clock tea czy fix. Proszeni byli wszyscy na ósmą, ale pierwsze karoce z rodziną bliższą i dalszą podjeżdżały już chyba o godzinie siódmej. Wieszczka miała swój ustalony ceremonjał wchodzenia do salonu, kiedy już był nadkomplet, wszystkie kanapy poobsadzane, mężowie, papowie, fatyganci oraz epuzery pod ścianami. Wchodziła z ojcem kamerjunkrem J. C. Mości Aleksandra...

„Po reprezentacjach, egzageracjach, konwersacjach i palpitacjach następowała... improwizacja.

„Stawała w pośrodku Druidessa, splatała ręce, oczy w przestrzeń nieruchomo. I wtedy zadawano. Ci to, tamci tamten temat: malarstwo, miłość, kamienie, klejnoty, wino, kobieta, śpiew, Ojczyzna, Gopło, Warta, kwiaty, gwiazdy, owoce...

„Potem się uciszało. Wieszczka zamyślona, z głową opuszczoną, zaczynała chodzić wokoło na środku salonu, poczem stawała i w śmiertelnej ciszy, przy której można było usłyszeć jak komar dybie na muchę, zaczynała wierszowany, długi monolog, najpierw piano i lente, potem staccato, con brio.

„Że lubiła owoce, więc o owocach... o jabłku. Jabłko w raju, jabłko Parysa, jabłko Wilhelma Tella, jabłko Newtona. Ojciec gdzieś z boku, przy stoliku szybko stenotypował, a Harfiarka deklamowała. Czasem 5 minut, czasem 15, a bywało, że pełne pół godziny. Kiedy finiszowała, przeważnie ciężko wymęczona, blada, jak widmo i już słaniająca się, wybuchał orkan sarmackich oklasków i otwierała się kaskada komplementów, superlatywów, ekstaz, przeważnie w języku francuskim. Choćby było o Leszku i Goworku... po francusku. Choćby o Dąbrówce i Rzepisze... po francusku. Choćby o ucieczce Henryka Walezego, to... po francusku. Taki to był już wtedy obyczaj, konwenans, jak nad Wisłą, tak nad Wartą, w „towarzystwie" w noblesie obowiązujący...".

Tyle Nowaczyński, a ona... Ona zaprzecza, że oklasków, które jej tak wypominała prasa, prawie wcale nie słyszała, że improwizacjom towarzyszył nie tyle zachwyt, ile przerażenie, że często ludzie, na których jej najwięcej zależało, wychodzili z ich domu, nie powiedziawszy słowa i dopiero potem dowiadywała się, że wrażenie, jakie na nich wywarła, było niesłychanie głębokie. Przez osiem lat (1852—1860) improwizuje Deotyma w świetle zapalonych kinkietów i pająków, w szmerze komplementów. Aż stał się lapsus niezmiernie przykry: ukochany papa, niepotrzebnie w swoje życie wtrącił wątek narodowy, którego tak unikała w poezji jego mądra córa. I poszedł na Sybir. Ona za nim. Zrzuciła przejrzystą tunikę à la Rachel I poszła. Wprost z jasnych salonów romantycznych — na Syberję.

Nie można się zatem dziwić, że kiedy wróciła do Warszawy, powitał ją entuzjazm. W Teatrze Wielkim deklamują jej „Wandę" przy żywych obrazach układu Lessera, przedstawiciele uniwersytetu ofiarowują jej wieniec wawrzynowy, a młodzież akademic-

*Dokończenie na str. 20-ej.*

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

# AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEN: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

**Numer 43** — **Niedziela, 23 października 1938** — **Rok IV**

## ASY NUMERU 43-GO:





*Fot. Sport General.*

**Groźba wojny europejskiej, która ostatnio zawisła nad Europą, przyśpieszyła również w Anglji przygotowania do obrony przeciwlotniczej, obejmując przedewszystkiem samą stolicę. Na naszem zdjęciu widzimy nad słynnym średniowiecznym Towerem w Londynie jeden z balonów, których zadaniem jest utworzenie zapory przeciw nalotowi nieprzyjaciela na miasto.**

# GÓRALE ZA PRZEŁĘCZĄ JABŁONKOWSKĄ





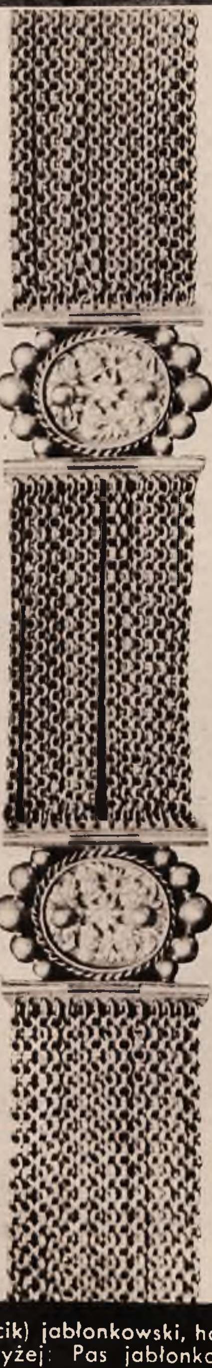
Powyżej: Jeden z czterech do dziś zachowanych, najbardziej typowych przykładów wiejskiego budownictwa drewnianego na Śląsku Cieszyńskim: Kościółek w Gutach.

Na prawo: Srebrna spinka jabłonkowska, noszona od święta.

W sierpniu br. Nowy Sącz gościł na tradycyjnym zjeździe górskim wszystkich górali Karpat polskich jak długie i szerokie. W gronie ich byli goście szczególnie mili: górale cieszyńscy, bratnia krew z za Olzy! Po raz pierwszy danem im było występować w Polsce. Pojawienie się ich na scenie wywołało niepodobny do opisania entuzjazm i wzruszenie. Każdemu punktowi programu tej porywającej swem rozbawieniem tanecznem grupy zaolzańskiej, towarzyszyły istne huragany oklasków i okrzyków, niemilknące jeszcze długo po zejściu ich ze sceny. Ogólną radość wielotysięcznych tłumów gasiła myśl o fatalnych słupach granicznych i rzece, w tak bolesny sposób rozdzielającej kraj i lud złączony przecież ze sobą silnemi więzami. I nikt napewno nie spodziewał się, że już tak blisko była wówczas radosna chwila złączenia się ziemi zaolzańskiej z Macierzą. Nie minęły dwa miesiące, gdy wkraczające wojska nasze rzuciły ludności polskiej potężne słowa: „Wolni jesteście! Złączyliśmy się i nic już nas nie rozłączy!". W chwili obecnej radości z odzyskania Śląska nad Olzą towarzyszy powszechne zainteresowanie jego ludem i obyczajami. Dorzućmy kilka listków do tego dużego już wieńca uwag, wspomnień i wrażeń, poświęconych Zaolziu.

Dolina Olzy od Jabłonkowa do Cieszyna przedstawia niezwykle interesujący i charakterystyczny widok. Długości około 21 km, szeroka przeciętnie 5 m, bokami jej ciągną się przepiękne terasy, oczernione smugą lasu. Słynny przesmyk jabłonkowski otoczony jest górami stosunkowo niskiemi, toteż nie robi wrażenia wielkiej wyniosłej bramy, lecz łagodnej wklęsłości, na kształt siodła. Dolina Olzy nie nosi piętna groźnej majestatycznej dzikości: praca ręki ludzkiej zostawiła na niej wybitne ślady. — Wszędzie, jak okiem rzucić, zamożne, zagospodarowane wioski, przepiękne kościoły, szkoły i pola uprawne. Słowem, człowiek zaludnił dolinę, opanował ją i zagospodarował.

Górale cieszyńscy i t. zw. Jacki jabłonkowskie (od słówka „jacy", które bezustannie w rozmowie wtrącają) — to odwieczna, polska ludność tych okolic. W niektórych okolicach zachowała się jeszcze w tradycji ludowej pamięć o koczowniczych pasterzach górskich — „Wałachach", którzy w wiekach dawnych, ustępując przed naporem nawały muzułmańskiej, z głębi skalistego Bałkanu, grzbietami Karpat zawędrowali w te strony. Potomkowie ich oddawna zmieszali się z ludnością polską, przyjmując jej kulturę i język, ale jeszcze w niektórych zwyczajach, w formach życia pasterskiego, ba, nawet w sprzętach domowych i stroju, zachowały się do dziś wyraźne ślady wpływów odległego







Na prawo: Jabłonkowski czepiec kobiety zamężnej — haftowany złotem.

Powyżej na lewo: „Żywotek" (gorsecik) jabłonkowski, haftowany złotą nitką na granatowym aksamicie. — Powyżej: Pas jabłonkowski ze srebrnych łańcuszków, noszony przez kobiety.

Bałkanu. Niedawno jeszcze życie pasterskie stanowiło główną podstawę bytu górali śląskich. Owce swe wypasali na polanach, wykarczowanych wśród lasów, tak zwanych „sałaszach“. Spędzanie owiec na wiosnę, w maju z całej gminy na ‚sałasze“ było bardzo uroczystem świętem dla wsi, brali w nim udział wszyscy, począwszy od starców, aż do dzieci. Kulminacyjnym punktem uroczystości było wbicie na polanie umajonej choinki i pokropienie święconą wodą pędzonych dokoła drzewka owiec. Potem następował pierwszy udój, raczenie się świeżą żętycą, wreszcie zabawy i tańce młodzieży. W jesieni pasterze schodzili z owcami ku niższym partjom gór i wypasali trzody na oziminach „siedloków“ (gospodarzy rolnych). Lecz to są już tylko echa przeszłości. Pasterstwo zanika, podcinane w swoich podstawach przez wyniszczenie hal i odpływ ludności wiejskiej, porzucającej zajęcie pasterskie dla pracy w przemyśle śląskim. Rzadko już można spotkać ów arcyciekawy typ starego bacy z długimi włosami, który pykając nieodstępną fajeczkę, opowiedziałby nam o tych dawnych czasach: „Downij trąby grały po gorach... uowce się pasły... Syra było. Mlyka było... Tam nie byli ludzie nauczeni jeś jako teraz. Pojod se syra, ziemnioków, napił sie żentycy i szeł na cały dzień z uowcami. A ludzie mocniejsi, zdrowsi... chłopi byli jak buki“.

W dolinach rzecznych wzdłuż drogi, ciągną się malownicze wioski, w których, zwłaszcza w górach, spotkać dziś jeszcze można tradycyjne osiedla starych gazdów, które oparły się dwom groźnym dla ludowej kultury potęgom: zębowi czasu i naporowi wpływów miasta, które jak woda wciskają się niepostrzeżenie a nieuchronnie do najzapadlejszych nawet zakątków. Wzruszającym kontrastem odbijają się od banalnych murowanych, krytych blachą domów, majestatyczne gazdowskie osiedla, zbudowane z potężnych bierwion jodłowych, kryte strzelistym gontowym dachem, do których wchodzi się przez szerokie, przysadziste dźwierza, z ozdobnymi zastrzałami w narożnikach, przypominających nader żywo tak dobrze znane odrzwia chaty podhalańskiej. Turysta, któryby na Zaolziu szukał starodawnych, drewnianych kościółków, niewiele już ich, niestety, znajdzie. Zachowało się ich jeszcze cztery: w Olbrachcicach i Marklowicach w powiecie frysztackim, oraz w Gutach i Nydku koło Cieszyna. Ponad koronami stuletnich drzew górują ich poczerniałe od deszczu wieże.



Typowy przykład złotego haftu ze Śląska Cieszyńskiego.



Na lewo: Ślązak „Jacek“ z Jabłonkowa w odświętnym stroju (wg. oryg. akwareli).

Strój Jacków jabłonkowskich budzi wielki podziw, a nawet entuzjazm znawców. Przekonałem się o tem niedawno w rozmowie z jednym wybitnym malarzem. „To jest naprawdę piękny strój — mówił z ożywieniem — szalenie ozdobny, jeden z najciekawszych w całej Polsce“. Z wrodzonej przekory próbowałem oponować: „A górale skalnego Podhala, a Lachy Sądeckie, których wyszywane kaftany mienią się wszelkiemi barwami tęczy“. „Jednak trudno komuś dotrzymać kroku Jackom z Jabłonkowa — odparł.

— Czy wie pan jacy oni dumni są ze swego stroju? Chętnie opowiadają, że jak inni górale zobaczą Jacka w uroczystym stroju, to czapkę zdejmują, jakby przed księdzem. — Istotnie też wyglądają okazale. Strój ich przypomina nieco mundur węgierskiej husarji: granatowa „mentliczka“ (kurtka, ozdobiona jest na przedzie srebrnym szamerunkiem i dwoma rzędami dużych, artystycznie wykonanych srebrnych guzów, godnych szlacheckiego kontusza. Pod spodem kamizelka czarna, takimiż guzami ozdobiona, „nogawice“ (spodnie) z siwego sukna, z obszernemi parzenicami, ułożonemi z czarnego sznurka, łudząco przypominającemi węgierskie „bo-

*Dokończenie na str. 31-ej.*

Poniżej: Dwie koronki ze słynnego ośrodka koronczarskiego w Jabłonkowie.





z dwóch warstw szkła, między któremi przepływa powietrze ogrzane do temperatury 18 stopni Cels. W lecie powietrze jest oziębione. Ściany te nie przepuszczają głosu, zniknęła więc plaga hałasu, właściwa nowym domom o „papierowych“ ścianach. Piece i kaloryfery centralnego ogrzewania również zostały usunięte ze szklanych domów. Powietrze zostaje z wnętrza wypuszczone na zewnątrz zapomocą specjalnych ujść, pod ciśnieniem świeżego powietrza, ogrzanego lub ochłodzonego sztucznie, oczyszczonego z kurzu i bakteryj, o automatycznie utrzymanej właściwej wilgotności. Ściana i wentylator nabierają więc w nowoczesnym domu nowego znaczenia. Dzięki tej metodzie przewietrzania automatycznego i naukowego znikną z wnętrz mieszkań muchy, komary, mole, nie mówiąc o kurzu i o hałasie ulicznym. Częściowo zniknie również i lampa u sufitu: światło będzie padało z zewnątrz, poprzez szklane ściany, z szeregu reflektorów, rozmieszczonych równomiernie wzdłuż ścian. Oświetlenie wnętrza będzie więc identyczne w dzień i w nocy! Meble, ustawione z myślą o świetle słonecznem, wieczorem będą naświetlone identycznie. Ma to szczególne znaczenie dla biur, szkół, bibljotek, gabinetów.

Inny architekt, Mallet-Stevens, wybudował całą ulicę nowoczesnych will w Paryżu, na ulicy, której nadał swe własne imię... Utworzył on jedną całość, dzięki czemu zyskały domy na wyrazie. Bo domy nowoczesne, czy ich specjalny typ — domy ze szkła, nie mogą znajdować się w otoczeniu szeregów starych murów kamiennych. Oba typy domów — te stare i te nowe — mają swój urok, lecz urok indywidualny. W domach szklanych nie można oddzielić idei wnętrza

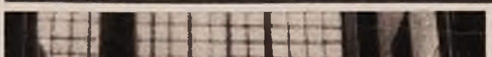
**Na lewo: Wnętrze mieszkania w nowoczesnym szklanym domu.**

# LUDZIE W SZKLANNYCH DOMACH

Szkło w naszej wyobraźni łączy się zawsze z pojęciem kruchości, przeźroczystości, łamliwości, wysokiej ceny i odpychającego chłodu. Szklanka, szyba, akwarjum, lampa... W naszem przekonaniu dom ze szkła, dom zupełnie przeźroczysty to akwarjum, w którem przechodzeń uważać nas będzie za ciekawe okazy... To lampa, świecąca w nocy całą swą powierzchnią, przyciągająca uwagę przechodnia na życie wewnętrzne domu.... Raz oparliśmy się o szklaną taflę gabloty: pękła. Jak tu chodzić po szklanej podłodze bez uczucia niepewności za każdem stąpnięciem?...

A jednak domy ze szkła istnieją. Przebojem zdobywały sobie miejsce wśród szarych murów wielkich miast. Marzył o szklanych domach Stefan Żeromski... Domy ze szkła zyskały sympatje i poparcie jednostek, starających się odróżnić fantazję od banalnej nowości, futuryzm od inowacji.

Architekt francuski Le Corbusier-Saugnier już od lat głosi swe hasła nowoczesnej architektury, uznane kiedyś za warjackie, a dziś— za podstawę budownictwa. To też wystarczy przytoczyć, że księżna de Polignac, współfundatorka „Cité de Refuge“ (domu dla bezdomnych) Armji Zbawienia, postawiła za warunek swego zapisu powierzenie budowy gmachu wspomnianego architektowi, a zarząd przyjął jego plan budowy pałacu ze szkła. Ten drapacz nieba nie ma ani jednego okna! Herezja? Nie! Naco okna? Do oświetletnia służy cała powierzchnia fasady, wynosząca 1.000 metrów kwadratowych. A do przewietrzania okno jest niepotrzebne, bo wystarczy wentylator! W tych warunkach wyraz „okno“ stanie się kiedyś archaizmem. Rola ścian staje się natomiast wielka. Całkowicie ze szkła. wsparte tylko na konstrukcji żelazobetonowej, mury szklanych domów są przeważnie ze szkła mlecznego (a więc nieprzeźroczyste!), zielonkawego, grubości około 15 centymetrów. Składają się one



**Schody ze szkła pokryte są tłoczoną gumą, a drzwi naprzeciwko nich składają się z metalowej siatki, wtopionej w szkło.**

od frontonu: tworzą one jedną całość, wzajemnie się funkcyjnie uzupełniającą.

Najlepiej dokazał tego młody architekt francuski, Pierre Chareau, budując szklany dom przy ulicy Saint-Guillaume w Paryżu, a zamówiony przez pewnego lekarza. Dom ten, posiadający własny ogródek, dzięki szklanej ścianie tworzy z ogrodem jedną całość. Nie wiemy, gdzie kończy się wnętrze. a gdzie zaczyna się zieleń ogrodu. Chciałoby się przejść... przez ścianę, dającą się zresztą rozsuwać. Również liczni zwiedzający szklany pałacyk szklarni Saint-Gobain na Wystawie paryskiej w 1937 roku chcieli „przechodzić“ przez ścianę. Wszystko tu było ze szkła! Szklane schody uginały się przyjemnie pod naszymi krokami; podłoga była niezwykle czysta, podobnie ściany i meble.

Meble domów szklanych ograniczone zostały do minimum. Już przed kilku laty zasłynął szklany apartament mistrza fryzury, Antoine'a Cierplikowskiego przy ulicy Saint-Didier w Paryżu. Bibljoteka została tu umieszczona pod szklanemi płytami podłogi... Dużo pisano o szklanej trumnie, a raczej szklanej kozetce, ulubionem miejscu wypoczynku Antoine'a. Dookoła hallu biegną pokoje i galerja odgrodzona szklaną balustradą...

Prostota tych przeźroczystych prostopadłościanów daje jednocześnie poczucie luksusu, przestrzeni, jasności i wynikającej z tego radości życia.

**Inż. Zygmunt Frenkiel** (Paryż)

# KĄCIK FILATELISTYCZNY

Lot do stratosfery nie odbył się... Zmartwiło to oczywiście wszystkich tak licznych filatelistów polskich, którzy wysłali tysiące kopert do doliny Chochołowskiej, skąd miały się udać w podniebną drogę. Nie zastanawiajmy się nad tem, coby było, gdyby w czasie wybuchu wodoru koperty te uległy zniszczeniu, ale rozważmy problem czy nie można dzisiaj żądać od organizatorów zwrotu kwot pobranych za owe specjalne kartki i koperty.

Wprawdzie i do znaczków trzeba było dopłacić po 1,25 zł. na cele organizacji lotu, ale fakt, że nastąpiła katastrofa nie może nikogo upoważnić do żądania zwrotu tej kwoty. Inaczej ma się jednak sprawa z kopertami i kartkami; przecież tutaj żądano i pobierano wysoką opłatę na rzecz normalnie wartościową, bo wykonanie pojedyńczej koperty nie mogło kosztować nawet grosza, a dopiero dzięki ewentualnemu lotowi mogły się owe przesyłki pocztowe stać bardzo nawet cenne. Przed kilku tygodniami powątpiewaliśmy jednak, czy faktycznie dojdzie do skutku przewóz kopert samym stratostatem, bo uczeni nie mogą w tak ważnej chwili poświęcić ani sekundy czasu na „zabawki filatelistyczne".




**Najnowsza serja znaczków węgierskich, wydaną z okazji 300-lecia założenia uniwersytetu w Debreczynie. — Widok gmachu uniwersyteckiego w XVIII i XX w. oraz podobizny zasłużonych profesorów uczelni zdobią znaczki.**

Przewidywania nasze sprawdziły się niestety w sposób nieoczekiwany, tak, że dzisiaj każdy mógłby zażądać zwrotu opłaty za koperty wobec tego, że lot nie doszedł do skutku. Tłumaczenie się ze strony tych, którzy je sprzedali, że od obowiązku rekompensaty zwalnia ich „vis maior", za który może być poczytywane spalenie się powłoki, — nie jest dostatecznym argumentem. Jeśli bowiem ktoś za jakiś przedmiot pobiera 50-krotną jego wartość i zobowiązuje się do wykonania pewnego dzieła, a tego dzieła nie doprowadza do skutku, wówczas nie może w żaden sposób usprawiedliwić się nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności.

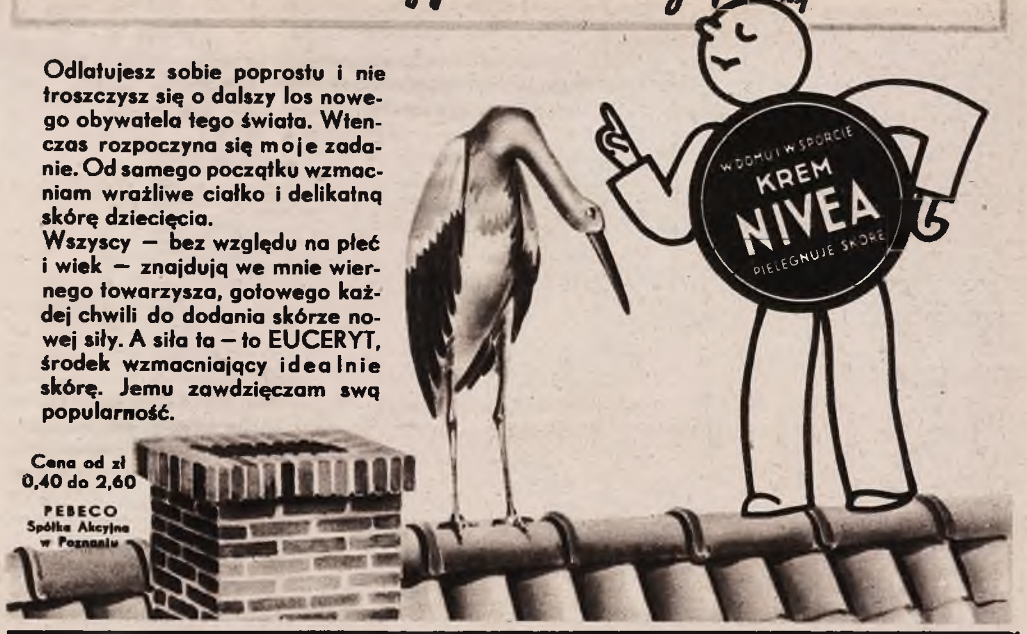
Przypuszczamy, że niejedna osoba zwróci się do nas o poradę co począć obecnie — bo przecież — owe listy i kartki nabywano masami — ale zgóry już kierujemy wszystkich raczej do dobrych doradców prawnych.

Właściwie L. O. P. P. powinna sama zwrócić poszkodowanym pobrane kwoty, ale technicznie jest to niewykonalne, bo niewiadomo, czy przesłać je tym, do których były adresowane listy, czy też tym, którzy je wysłali. Tak czy owak i filatelistycznie impreza ta zakończyła się fiaskiem.

**W. H.**


*Urządzasz się wygodnie, stary przyjacielu!...*

Odlatujesz sobie poprostu i nie troszczysz się o dalszy los nowego obywatela tego świata. Wtenczas rozpoczyna się moje zadanie. Od samego początku wzmacniam wrażliwe ciałko i delikatną skórę dziecięcia.
Wszyscy — bez względu na płeć i wiek — znajdują we mnie wiernego towarzysza, gotowego każdej chwili do dodania skórze nowej siły. A siła ta — to EUCERYT, środek wzmacniający idealnie skórę. Jemu zawdzięczam swą popularność.




Cena od zł 0,40 do 2,60
PEBECO Spółka Akcyjna w Poznaniu






**FILATELISTA** używa tylko katalogu Froedego 1939, podającego ceny na znaczki netto rynkowe. Bezpłatnie 10 dodatków mies. na rok z nowościami i zmianami cen. Cały świat zł. 8.— + zł. 2.— porto. Europa zł. 4.50 + 1.80 porto; Niemcy z Austrją zł. 1.75 + 25 g. porto; Znaczki Lotnicze zł. 1.75 + 25 gr. porto.

**Skład Główny: BIURO FILAT. T. GRYŻEWSKI. Królewska 35 m. 5, WARSZAWA 1,** czynne od godz. 14.30 do 19-tej. — P. K. O. nr. 22161. — Cenniki znaczków — na żądanie. 230



PEWNOŚĆ — ZAUFANIE

Mienie powierzone P K O jest pewne, bezpieczne i każdej chwili do dyspozycji właściciela książeczki oszczędnościowej.

KAŻDY URZĄD POCZTOWY JEST ZBIORNICĄ PKO

ARTYŚCI NA CENZUROWANEM:

# ALINA HALSKA



Alina Halska „po cywilnemu"...
Fot. Dorys — Warszawa

Na prawo: ...i w roli Małgorzaty w „Fauście".

Pośród wspaniałej konstelacji utalentowanych artystek warszawskiej sceny dramatycznej, Alina Halska, należąca do zespołów Teatrów Polskiego i Małego, zajmuje specjalne i zasługujące na wyróżnienie stanowisko.

Obdarzona pięknemi warunkami zewnętrznemi, głębokim, metalicznym i miłym głosem, artystka ta posiada w wysokiej mierze wielki kunszt mówienia wiersza, a nasycając swe kreacje głębią serdecznego uczucia i obdarzając pięknym gestem, jest jedną z nielicznych aktorek, które bezbłędnie wcielają się w postaci heroin dramatycznych i oddają całe piękno stylu i poezji klasycznej i romantycznej literatury.

Od zarania swej karjery p. Halska zdobyła sobie wybitne stanowisko w zakresie ról poetyckich, odrazu zwracając uwagę swym debiutem na scenie Teatru Rozmaitości w roli Marjanny w „Skąpcu", jako partnerka Ludwika Solskiego, a następnie całą serją ról w Teatrze im. Bogusławskiego, pośród których Goplana (w tragedji Słowackiego „Balladyna") była skończenie pięknem i pełnem niewysłowionego czaru uosobieniem legendarnej Nimfy, królowej Gopła i otaczających go tajemniczych borów.

W ciągu swego dwuletniego pobytu w Łodzi w teatrze pod dyrekcją Bolesława Gorczyńskiego i Kazimierza Wroczyńskiego, Halska zyskuje stanowisko naczelne w zakresie repertuaru dramatycznego, specjalnie



upamiętniając się w rolach: Szimeny w Cydzie, Lilly Wenedy, w „Świerszczu za kominem", „Dybuku", „Śpiewaku własnej niedoli", a jednocześnie zapoznając teatr z nowemi możliwościami swoich uzdolnień, tworząc wiele interesujących kreacyj w romantycznej i współczesnej komedji. Nic też dziwnego, że w roku 1926 znakomity reżyser i aktor polski, ówczesny dyrektor Teatru Narodowego, Kazimierz Kamiński, wybiera ją pośród wielu innych młodych talentów na odtworzenie roli Małgorzaty w „Fauście" Goethego. Rola ta jak też Miranda w szekspirowskiej „Burzy" stanowiły wielkie zdobycze w karjerze artystycznej Halskiej, a prasa zaliczyła ją wówczas w poczet najbardziej czujnych i subtelnych interpretatorek poetyckiego repertuaru.

Po sukcesach w Teatrze Narodowym, sezon 1926—1927 spędza Halska we Lwowie w krótkim czasie stając się ulubienicą publiczności i atrakcją widowisk. Przypomnieć tu należy jej role w „Radości kochania", Ameljç w „Mazepie", Roksanę w „Cyranie de Bergerac" i wreszcie Helenkę w „Szczęściu Frania", graną z wielkim sukcesem w czasie gościny lwowskiej Jaracza.

Po roku pobytu we Lwowie związana węzłami rodzinnemi z Warszawą Halska powraca na scenę stołeczną i od roku 1927 jest już nieprzerwanie jedną z jej piękniejszych i cenniejszych artystek. Tworzy tutaj kolejno na scenie Teatrów Narodowego, Polskiego, Nowego, Artystów i Małego liczne role w zakresie repertuaru dramatycznego, z których wyróżnić trzeba przedewszystkiem Djannę w „Fantazym" na scenie Teatru Narodowego. Dobrze pamiętamy tę pełną dumy i godności młodą Djannę, gotową poświęcić swe szczęście i swą miłość dla dobra ludu polskiego; słynna tyrada Djanny i rozmowa jej z Fantazym — Osterwą na tle cudownie skomponowanej przez Drabika dekoracji, oddającej całą tajemniczość i cały czar kresowego parku — należy do piękniejszych przeżyć artystycznych. gra również z wielkiem odczuciem Gryzeldę w „Batorym", Carową w „Rasputinie", Lollię Paulinę w „Kaliguli". Jednocześnie coraz bardziej rozwija swoją umiejętność i oryginalny styl odtwórczy komedji, celując zwłaszcza w rezonerskich lub charakterystycznych postaciach współczesnej literatury angielskiej, której charakter i styl zdaje się przenikać z niezrównaną intuicją aktorską i wysoką inteligencją.

Ostatnie lata karjery scenicznej p. Halskiej przedstawiają ją jako artystkę zupełnie dojrzałą, o wielkich i szerokich możliwościach w różnym zakresie ról i repertuaru. Po doskonałej kreacji w „Sprawach rodzinnych" przez dłuższy czas nie widzieliśmy artystki na scenie. W ub. sezonie zaangażował artystkę dyr. Szyfman, powierzając jej trudną rolę Niki Napoleonidów w jubileuszowem przedstawieniu „Nocy listopadowej", z której to roli p. Halska wywiązała się doskonale.

O pracy w Teatrze Polskim i realizacji „Nocy listopadowej" opowiada nam czarująca artystka w swym pięknym apartamencie, urządzonym z niezwykłym smakiem i ozdobionym licznemi kompozycjami malarskiemi Wincentego Drabika, niezapomnianego i niezastąpionego scenografa, a zmarłego męża artystki.

„Praca pod kierownictwem tak znakomitego i tak twórczego reżysera, jak Aleksander Węgierko — mówi p. Halska — dała wszystkim nam, biorącym udział w „Nocy listopadowej" maksimum zadowolenia artystycznego. Wogóle atmosfera artystyczna, panująca w Teatrze Polskim, możność współpracy z tej miary reżyserami, co Węgierko, Ziembiński i Wierciński, stwarza najlepsze warunki dla rozwoju aktora. Jestem też szczęśliwa, że należę do zespołu tych teatrów i pracuję pod kierownictwem tak znakomitych przedstawicieli sztuki teatralnej w Polsce".

A. W.

# Czarnoksiężnik z Zatoki Podkowy

Opowiadanie

JANUSZ MARJA BRZESKI

*Wydarzenie, które opisuję, nie jest zmyślone. Stanowi ono mały wycinek historji Ameryki — nie decydujący wprawdzie o jej losach, ale charakteryzujący stosunki panujące w latach pięćdziesiątych w „Nowym Świecie".*

Tysiąc akrów żyznych pól i lasów, położonych blisko rzeki Haive — nad brzegami Atlantyku — stanowiło piękną posiadłość, której ozdobą był dwupiętrowy pałacyk. Posiadłość ta należała kiedyś do Stefana Latour, który otrzymał od króla francuskiego przywilej na te ziemie. Imię Latour'a wyryte było na kamiennym stole, naprzeciw przedsionka pałacowego.

Wśród okolicznych mieszkańców posiadłość, zwana później Hufeisen-Bucht, cieszyła się jak najgorszą opinją. Bano się wymieniać głośno nazwę tej przepięknej farmy, która nie posiadała nic z tajemniczych uroczysk, gdzie płoną błędne ognie.

Tysiące fantastycznych opowiadań nadały Zatoce Podkowy pewien rodzaj przejmującej grozą sławy. Osadnicy tamtejsi, będący szczątkami wielkiej grupy wychodźców holenderskich i niemieckich, zmieszanych z ludnością francuską oraz anglo-saksońską pierwszych kolonistów — skłonni byli do zabobonów, przesądów i nowoczesnej czarnej magji. Oni to, wierni tradycjom przodków, w kostjumach mieszczuchów z Bredy, dostarczając miłych wzorów współczesnemu pisarzowi Washingtonowi Irwing — stworzyli tło, na którem rozegrały się później dwa dramaty.

Van Putten, Holender z Amsterdamu, drugi zkolei właściciel Hufeisen-Bucht, objął w posiadanie majątek w r. 1801.

Pierwszą czynnością nowego dziedzica, pełnego dumy, iż stał się niepodzielnym władcą rozległych dóbr, było przemianowanie Hufeisen-Bucht na Zamek Van Putten. Często widywano Holendra, jak paradował w towarzystwie córek i żony pełen urzędowej powagi. Ludzie z Shelbourn'a i Lunnenburga na długo zachowali w pamięci olbrzymie poły, błyszczące guziki surduta i nieskończoną ilość fajek, którą wypalał Van Putten.

Mieszkańcy Starego Świata, którzy zaludniali w owym czasie Amerykę, przywozili ze sobą przesądy, feudalne zwyczaje, gorzki purytanizm, zbrodnicze ambicje, ukochane szczątki swych europejskich mieszkań, odświętne stroje i nowych bogów, a także nienawiść do samych siebie. Balast ten odgrodził ich od siebie i nie pozwalał zżyć się z nową ojczyzną. W takim nastroju najeźdźcy dziwaczeli. Oryginałami zasiana była Ameryka. Do nich zaliczał się także Van Putten, za którym podczas jego przechadzek, chłopak nosił piwo w rzeźbionym norymberskim dzbanie.

Któregoś dnia, kiedy słońce już zaszło i zbliżał się szybki zmierzch, czerwone błyski zapalające się wokół za pagórkami i rozlewające fosforyczne echa po niebie — wyrwały z zadumy Van Putteta, wpatrzonego w dal ze stoków wzgórza.

Zrazu przesądny Holender pomyślał o czarach i przeraził się. Szybkim krokiem udał się do domu i tu z prawdziwą ulgą przekonał się, że czerwone refleksy pochodziły od ogni, rozpalonych przez Indjan. Van Putten poczuł się nieswojo, ale wiedziony instynktem zrobił rzecz, która zjednała mu sympatje tubylców; sam rozpalił również olbrzymi stos przed swoim domem. Uznanie dzikich objawiło się szalonymi okrzykami.

Drugiego dnia po tem zajściu delegacja Indjan złożyła wizytę Van Puttenowi. Przywódca dzikich i Holender zamieniali długie ukłony i przewlekłe mowy, nie rozumiejąc się oczywiście nawzajem. Ten drobny napozór szczegół krył w sobie jądro późniejszej tragedji.

Dzicy, którzy zawarli w tym czasie pokój z Anglją, zakopując uroczyście tomahawek, trzymani twardem i bezwzględnem prawem w ryzach, byli usposobieni raczej dobrotliwie. Wódz ich podczas przemowy prosił Van Puttena, by ten uszanował popioły przodków jego plemienia. Skrywała je ziemia w cieniu rozłożystych drzew, znajdujących się w granicach posiadłości Holendra. Indjanin tłumaczył, że jego naród co pewien czas przybywa na wybrzeże „Wielkiej Wody", aby zwiedzić cmentarzyska na zielonych przylądkach i by paleniem ognisk uczcić cienie zmarłych wojowników. Dzikus dodał na zakończenie w formie ostrzeżenia, że profanację zmyć mogłaby tylko krew. Wódz wskazywał palcem święte drzewa, Van Putten kiwał głową, mówił o starym Amsterdamie i zgoła nie wiedział o co chodzi.

Indjanie odeszli i dni poczęły biec monotonnie i cicho. W parę tygodni później statek Holendra kursujący po rzece — zabrał świeży ładunek. Między równo pociętymi pniami znajdowały się także święte drzewa Indjan Na drugi dzień Van Putten po powrocie do domu zastał plantacje swe zniszczone. Żona i córki nie żyły. Zamordowano je. Tylko dom zbudowany przez Francuzów ocalał. Stał wśród odwiecznych drzew, jak zapomniana świątynia, w której nie było już bogów.

Van Putten popełnił samobójstwo. Powiesił się u serca wielkiego dzwonu, zwisającego w sali pałacowej. Mieszkańcy okolicznych folwarków tak byli zajściem przerażeni, że nikt nie zajął się zwłokami dziedzica z Hufesein-Bucht. Szkielet Van Puttena długo miotał się w dzwonie na butwiejącej linie.

Indjanie na lata całe stali się panami swych cmentarzysk. Łososie, pstrągi, daniele, niedźwiedzie i lisy mnożyły się swobodnie w rzekach i lasach posiadłości. Nikt nie śmiał na nie polować. Dom zrabowali w jakiś czas kontrabandziści amerykańscy, którym przewodził niejaki kapitan Peters. Oni też opanowali zatokę, okrytą przed okiem ludzkiem zieloną gęstwiną prastarych drzew. Pałac Latoura stał się bazą operacyjną ciemnych indywiduów.

Trzecim zkolei prawym właścicielem Zatoki Podkowy i pałacu stał się w parę lat po opisanem zdarzeniu — Don Alfonso de Vigueyra.

Opinja, jaką cieszyła się posiadłość, tragiczna przygoda Van Puttena, zakończona śmiercią wszystkich członków tej rodziny, wreszcie niebezpieczeństwo napaści Indjan i sąsiedztwo bandytów, władających zatoką, spowodowały, że fakt kupna majątku przez Don Alfonsa uznano wkoło za szaleństwo. Nie było człowieka, ktoryby chciał mieć coś wspólnego z nowym właścicielem. Obawiano się, że cień śmierci padnie znowu na ten dom i jego sąsiadów.

Don Alfonso de Vigueyra był to człowiek o białej cerze i jasnych włosach. Śmiała twarz i niebieskie oczy wyrażały otwarty, prawy charakter. Don Alfonso posiadał znajomość kilku języków, a fakt ten oraz przymioty jego charakteru leżały, zdaje się, w ścisłym związku z ważnem stanowiskiem, które zajmował wśród tych śmiałych korsarzy z czasów Napoleona, którzy pod osłoną skał Kuby i Filipin — stali się na złość Amerykanom — panami Zatoki Meksykańskiej i sąsiednich wód.

Po ukończeniu wojny, były korsarz i żołnierz w wielkiej sprawie o niepodległość Meksyku — ożenił się z córką duńskiego konsula — Johanną Süwern, słynącą ze swej niezwykłej urody. Uroda ta stała się wkrótce powodem nieporozumień między oficerami poruwiańskimi, walczącymi ze sobą o władzę i względy pięknej kobiety. Dom de Vigueyra był terenem licznych i natarczywych wizyt awanturników. To zdecydowało, że Don Alfonso sprzedał swą posiadłość w Tampico i udał się do Stanów Zjednoczonych. Dopiero jednak w Nowej Szkocji nadzieje znalezienia odpowiedniej posiadłości uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem. Przypadek nastręczył młodej parze możność kupna opisanego już majątku Latoura.

Losy Van Puttena nie były zdolne zmienić postanowienia de Vigueyra. Kryjówki przemytników znajdujące się wedle tajemniczych wieści, w załomach skalnych, w cieniu jodeł i cedrów amerykańskich rozśmieszały odważnego korsarza i były raczej zachętą do kupna, niż powodem do zaniechania transakcji. W kilka dni po przyjeździe — de Vigueyra nabył Zatokę Podkowy na własność. Nie uląkł się on upiorów ani rozbójników, a temmniej dzikich, których język i zwyczaje znał dobrze.

Grzeczna powaga i ujmujący wdzięk, zalety umysłu, wreszcie odwaga Don Alfonsa, że ośmielił się zamieszkać w osławionym domu — natchnęły nieufnością sąsiadów. Poczciwi dzierżawcy i drwale z okolic nie znali dotąd nikogo, ktoby przypominał nowego pana z Zatoki Podkowy. Hiszpańskie dublony, które rzucał wkoło Don Alfonso hojną ręką, przekonywały, że nie potrzebuje on żadnej pomocy i niepokoiły wszystkich. Skąd de Vigueyra wziął tyle pieniędzy? — pytano. Biali ludzie z punktu przybrali w stosunku do mieszkańców domu w Zatoce postawę nieufną i wyczekującą.

W przeciwieństwie do białych kolonistów, szczepy indyjskie na wiele mil wkoło zachowały najwyższy szacunek dla „Ojca z Zielonej Zatoki" — jak go nazywano. Statek jego szybko i bezpiecznie żeglował po zdradliwej rzece. Przepowiedzieć niepogodę i kierunek wiatrów, ująć sobie Indjan — ba — stać się ich przyjacielem i panem, wystarczać sobie i nie potrzebować niczyjej rady, ani pomocy — były to rzeczy, które zabobonnym sąsiadom Don Alfonsa kazały przypuszczać, że pomagają mu złe moce. Kiedy wielki dzwon, świadek śmierci Van Puttena — odzywał się, gotowi byli wierzyć, że nowy władca Zatoki Podkowy zwołuje swych sprzymierzeńców z niewidzialnego świata.

Nie lubiano Don Alfonsa, lękano się go i szanowano.

Pod opieką pary murzynów rosło dwoje dzieci de Vigueyra. Ramon, piękny chłopak, ruchliwy jak żywe srebro i siostra jego Teresa. Służący Katon, niski, muskularny czle-

czyna, noszący skórzany kaftan, wielki nóż u pasa i mosiężne koła w uszach, oraz żona jego, Wenus, brzydka, stara i pomarszczona, spełniając rolę najbliższej służby Don Alfonsa — upewniali kolonistów, że ich nowy sąsiad jest człowiekiem niesamowitym. — Wkrótce mawiano powszechnie:

— Czarnoksiężnik z Zatoki Podkowy...

Jedyną ciemną chmurą na spokojnym horyzoncie Zatoki Podkowy byli przemytnicy, którymi dowodził kapitan Peters. Człowiek ten był synem irlandzkiego przestępcy, zesłanego do Botany Bay, a prawdziwe jego nazwisko brzmiało Daniel Doyle. Doyle rozpoczął młodość jako aplikant sądowy w Nowym Jorku. Szybko jednak odezwały się w nim złe instynkty. Po dokonaniu jakichś podejrzanych malwersacyj uciekł z miasta. Podczas tułaczego życia poznał i zgromadził wokół siebie rozbitków życiowych. W ten sposób powstała banda przemytników, grasująca na wodach Atlantyku u wybrzeży Nowej Szkocji. Peters albo Doyl został szefem tej gromady. Plądrował granice Kanady i przyzwyczaił się do schronienia, jakie dawała podczas wypraw Zatoka Podkowy. Nie myślał też ze swej kryjówki rezygnować łatwo.

Don Alfonso orjentował się, że sam nie pozbędzie się nigdy niemiłego i niebezpiecznego sąsiedztwa. Wspólnie więc z Indjanami postanowił raz na zawsze sprawę zakończyć. Któregoś wieczoru zbliżających się na czółnach ku brzegom Zatoki — przemytników — powitał głos myśliwskiego rożka. W chwilę potem wybrzeże zaroiło się uzbrojonymi tubylcami, a deszcz pocisków posypał się na łodzie. Przemytnicy gwałtownie rzucili się do ucieczki, zdając sobie sprawę, że tracą swe kryjówki na zawsze.

Od dnia ataku i gwałtownej obrony wybrzeża — przemytnicy zniknęli nazawsze, pozostawiając w spokoju dom i posiadłość de Vigueyra. Tylko Peters wracał czasami, aby polowaniem na cudzych terenach i kradzieżą drzewa manifestować obecność i pamięć o „krzywdzie", jaka go spotkała.

Tymczasem w gospodarstwie Don Alfonsa zaszły zmiany, które zmusiły kolonistę do powiększenia swej służby. Katon i Wenus nie wystarczali już. Pierwsze próby pozyskania kogoś z okolicy spełzły na niczem. Mieszkańcy raz źle usposobieni do właściciela Zatoki Podkowy, nie chcieli tak łatwo zmienić o nim zdania. Wreszcie po usilnych naleganiach udało się zwabić do Zatoki sowitem wynagrodzeniem — syna jakiegoś żołnierza angielskiego. Chłopiec ten niemrawy, nie rozgarnięty, robiący wrażenie półidjoty, był jedynym śmiałkiem, jaki odważył się służyć w domu „Czarownika z Zatoki Podkowy".

Wiliam, takie było imię chłopca, kilkakrotnie usiłował zbiec statkiem przybywającym do Zatoki. Żaden jednak z kapitanów nie odważył się zabrać go i narazić się na gniew Don Alfonsa. Kiedy próby ucieczki statkiem okazały się daremnemi — Wiliam przebył rzekę wpław i znikł przez nikogo nie zauważony. W piętnaście dni potem powrócił do Zatoki w towarzystwie urzędników sprawiedliwości i trzydziestu żołnierzy.

— Aresztujemy pana — powiedział przywódca oddziału, zbliżając się do de Vigueyra.

— To on zabił człowieka! — krzyczał Wiliam.

Wszystko to było tak nagłe i niespodziewane, a przytem pozbawione wszelkich podstaw i sensu, że domownicy i służba oniemieli. Dopiero w parę dni powody aresztowania stały się jasne. Oto w przeddzień ucieczki Wiliama przybył do domu Don Alfonsa wędrowny sprzedawca świecideł z prośbą o przenocowanie go. Gościnny właściciel farmy z prostotą ofiarował przybyszowi posiłek i przytułek. Sprzedawcę po kolacji zaprowadzono do małego pokoiku w bocznem skrzydle domu. Faktem jest, że od tego czasu nikt z domowników, ani okolicznych mieszkańców więcej go nie widział.

Jednocześnie tego samego wieczoru przybył do pałacu jeden z oficerów statku stojącego w Zatoce. Oficer i de Vigueyra, po wieczerzy przenieśli się do wielkiej sali, gdzie przy kominie, paląc i pijąc — rozmawiali do północy. Wiliam siedział skulony u stóp komina — dorzucając polana do ognia i drzemiąc na zmiany.

W zeznaniach swych chłopak twierdził, że słyszał, jak mężczyźni opowiadali o jakichś krwawych wydarzeniach. Wszystko to przeraziło chłopca. Sen, w który zapadł — pełen był straszności.

— Kiedy się obudziłem — zeznawał Wiliam przed sędzią — była 3-cia nad ranem. W kominie jeszcze nie wygasło, a płonące żagwie rzucały mdłe światło na salę i skrawek korytarza widoczny przez uchylone drzwi. Nagle posłyszałem szmery i w korytarzu ujrzałem przemykające postacie — niosące trupa handlarza. Wydało mi się, że jednym z ludzi niosących ciało był Don Alfonso. Kiedy drzwi wejściowe zamknęły się, usłyszałem jeszcze zgrzyt śniegu na dworze i głuchy odgłos oddalających się sań...

Wiliam pozostał na swem miejscu, bojąc się ruszyć. Przyszedł do siebie dopiero wtedy, gdy Don Alfonso trącił go w ramię, zalecając dorzucić drzewa do ognia i sprowadzić oficera z jego sypialni.

— Cóż się stało z handlarzem? — zapytał gość przy śniadaniu. — Czy nie zamarzł w nocy? A może okazał się tylko zwykłym złodziejem?

— Odjechał bardzo wcześnie — odpowiedział gospodarz.

Poczem obaj zabrawszy broń, wyszli z domu na polowanie.

Wiliam wyszedł również i na własną rękę zaczął szukać potwierdzenia przywidzeń. — Przed domem znalazł ślady sań. Ślady te zaprowadziły go aż nad brzeg rzeki. Odcisk ciała na śniegu i otwór wyrąbany w lodzie upewniły Wiliama w mniemaniu, że tym właśnie otworem wrzucono do wody ciało.

W parę godzin po uwięzieniu — de Vigueyra przy pomocy syna, który obezwładnił strażnika — zbiegł i ukrył się na swych terenach, korzystając z pomocy Indjan.

Przestrach Wiliama — udało się wkrótce uzasadnić. Oto w nocy de Vigueyra wraz z marynarzem ze statku wynosił z domu zwój futer. Zwój ten mógł ostatecznie przypominać kształty człowieka. Futra miały być dostawione na statek wcześnie i tem też dała się wytłumaczyć ostrożność, z jaką je wynoszono, by nie pobudzić domowników.

Wreszcie otwór w lodzie — był przerębłą, przygotowaną do połowu ryb — którego mieli dla Don Alfonsa dokonać Indjanie. Chłopak, odnajdujący te wszystkie ślady i podniecony sennemi widziadłami, błądził po lesie, nie wiedząc, co robić. Wtedy to spotkał Petersa, któremu opowiedział zajście i który zmusił Wiljama do przedstawienia sprawy władzom bezpieczeństwa.

Jedynym ciemnym punktem w całej sprawie pozostał przez dłuższy czas handlarz, który znikł, jak kamień w wodę. Wreszcie jednak i tę zagadkę wyjaśniono. Indjanie, odnaleźli w lesie trupa nieszczęśliwca, który, ukradłszy srebrny dzban w domu Don Alfonsa — uciekł wcześnie rano. W lesie spotkał go Peters — złupił i zamordował.

Kiedy Ramon dowiedział się o odkryciu, udał się we wskazane miejsce. Podczas gdy zajęty był kopaniem mogiły — ujrzał kłęby dymu w stronie, gdzie stał pałac. Ramon dobiegł do pożaru, by zobaczyć już tylko olbrzymie płomienie trawiące dom, martwego Don Alfonsa — podziurawionego kulami, kompanów Petersa i bandytów, którzy syci zemsty, uciekali Zatoką w łodziach, uwożąc matkę i siostrę Ramona.

Dla młodego mężczyzny, jakim był wówczas Ramon, było to przeżycie wstrząsające. Sprzedał on wszystko, co dało się spieniężyć, odstąpił przywilej na ziemię nowym nabywcom i przemierzywszy całą prawie Amerykę, osiadł gdzieś na krańcach Stanów Zjednoczonych.

* * *

Latem — 1850 roku w drodze do Saint Louis — zatrzymałem się w stolicy stanu Texas, w Galwestone. Dziwne to miasto zamieszkiwali dziwniejsi jeszcze ludzie. Podróż moją i upór zwiedzenia Texasu — nazywano szaleństwem. Nie brałem przestróg poważnie i udawałem się wgłąb tego kraju, który zaraz na wstępie zrobił na mnie jak najgorsze wrażenie i zaspokoił żądzę przygód.

W Galwestone stanąłem w oberży „Tremont". Brudne i niestarannie zabudowane miasteczko, pełne było podobnych zajazdów. Co drugi dom — to szynk, hotel lub traktjernia. Ludzie, którzy je odwiedzali — tytułowali się generałami lub sędziami. — W rzeczywistości ludzie ci byli niczem. Tytuły nie oznaczały nic — poza pewnem przyznaniem się do niewyraźnego zawodu.

Kiedy usiadłem za stołem w oberży, aby posilić się po podróży, przy olbrzymim kominie w kącie sali, piło grog kilku ludzi. Nie zwracając na nich uwagi, zamówiłem potrawy i wpisałem swe nazwisko do księgi przyjezdnych. Chłopak, który zabrał książkę bez najmniejszej żenady, podał je biesiadnikom.

— Kapitan Johnson — przeczytał ktoś głośno.

— Ciekaw jestem — powiedział wysoki dryblas w imitacji jakiegoś munduru — kto to może być i czy ma pieniądze?

— Ma wygląd niewinnej gołębicy — dorzucił trzeci.

— Johnson — zauważył ociężale grubas, palący fajkę — to ktoś ze Starego Świata...

Ludzie, rozprawiający tak bezceremonjalnie głośno — w mej obecności — wzbudzili niejasne uczucie — że liczy się mnie na dolary. Jeśli w ich mniemaniu będę przedstawiał wartość, ograbią mnie — pomyślałem.

Nagle przypomniałem sobie, że piękny mój wierzchowiec, na którym odbywałem podróż po Texasie, stoi bez opieki w stajni. Wstałem więc czemprędzej i udałem się na podwórze. Jakież było moje zdumienie, gdy ujrzałem, że jakiś obcy człowiek, o odrażającym wyglądzie, siodła najspokojniej mego konia.

— Co robisz? — krzyknąłem. — To mój koń!

— No więc co z tego? — odpalił nieznajomy.

Gniew wezbrał we mnie tak gwałtownie, że rzuciłem się na bezczelnego bandytę, waląc na prawo i lewo pejczem. Dopiero jednak pistolet przekonał obcego. Przestał siodłać konia.

— Pan wie kim jestem? Nazywam się sędzia Peters i zapewniam pana, że odpowie mi pan za swoje zuchwalstwo — powiedział oprysżek i pykając fajkę oddalił się najspokojniej.

— Dobrze pan zrobił — odezwał się nagle za mną głos. — Pański ubiór zwrócił uwagę tych bandytów. Teraz ma pan chwilę czasu do ucieczki. Niech się pan pospieszy — już nasi generałowie urządzą na pana polowanie! Tu życie ludzkie nie przedstawia żadnej wartości.

Mój informator był metysem. Czułem, że mówi szczerze — więc, nie zwlekając, dokończyłem siodłać konia i za wskazówkami metysa ruszyłem najbliższą drogą do Jose Morella — Hiszpana, dla którego wiozłem listy z Nowego Orleanu.

W ten sposób rozpoczęła się moja pierwsza i jedyna przygoda, jaką przeżyłem w Texasie. Los zetknął mnie zaraz na początku z człowiekiem, który, kierowany przeznaczeniem, podążał w ślad za mną, nie przeczuwając, że idzie ku własnej zgubie.

W jakiś czas po opuszczeniu gospody, znalazłem się na dalekich przedmieściach

*Dokończenie na str. 20-ej.*



# Gdy „Polski Whiteman" gra...



Na lewo: Polski „król jazzu", Franciszek Witkowski.



Witkowski na czele swego zespołu podczas koncertu.




W kole: Przed odlotem na bal reprezentacyjny Zrzeszenia Interesentów handlu bawełną w Gdyni.

Niejednokrotnie już podnoszono rolę, jaką radjo odgrywało i odgrywa w zbliżeniu naszem do kultury Zachodu. Ktoś, kto może sobie pozwolić na dobry odbiornik, zawdzięcza radju wiele wspaniałych wrażeń, rodzących się pod wpływem wyjątkowych audycyj muzycznych i literackich, oraz prelekcyj na tematy artystyczne. Szczególnie dla miłośników muzyki radjo posiada niepospolite znaczenie, jeśli się zważy, że coraz rzadziej nadarza się w naszym kraju okazja do bezpośredniego odbierania wrażeń z naprawdę wysokowartościowych produkcyj muzycznych.

I w zakresie muzyki tanecznej radjo okazało się, poza małoelastycznym gramofonem, jedynym łącznikiem naszym z ośrodkami, w których przyszła na świat i potem rozwinęła się okazale najbardziej istotna forma jazzu. Audycje taneczne, nadawane przez kraje anglo-saskie, lub te, które te audycje transmitują, stały się wzorem dla tego rodzaju produkcyj w całym świecie. U nas niestety niemal wszystkie zespoły pozostawały pod wpływem stylu wiedeńskiego i niemieckiego, okresami tylko usiłując niezdarnie imitować ducha amerykańskiego i angielskiego jazzu, a częściej wpadając w przesadę stylu murzyńskiego „hot".

Na tem tle musiały zrodzić się u wielu, doceniających wartości klasycznego wzoru, pragnienia usłyszenia nareszcie takiego zespołu polskiego, któryby grę swą oparł na współczynnikach, budujących formę każdej produkcji jazzowej Anglo-sasów. Nie ulega najmniejszej kwestji, że wiele z naszych zespołów tanecznych znalazło się już na drodze, wiodącej do tego upragnionego celu. Jak dotąd jednak udało się go w pełni osiągnąć tylko jednej polskiej orkiestrze, której twórcą i kierownikiem jest wyjątkowo utalentowany muzyk, Franciszek Witkowski.

— — — — —

Pamiętam taki moment, gdy przed kilku laty bawiąc w Gdyni, znalazłem się na jednym z tamtejszych dancingów. Popisywał się tam wówczas sławny Melodysta na czele zespołu, złożonego z wybitnych jazzowych instrumentalistów. Parkiet aż drżał od rytmicznych uderzeń nóg tłumnie tańczących par, które z zachwytem łowiły czarowne dźwięki tang i foxtrottów. Melodysta i jego „hot-boys' byli na ustach wszyskich, bawiących wówczas na naszej Riwierze. A jednak...

Czekałem na chwilę, gdy zapowiedziano walca angielskiego. Temperament i błyskotliwa technika, objawiające się w szalonej rytmice foxtrottów, ustąpiły miejsca rozlewnej frazie, opartej na stonowanem brzmieniu instrumentów, których śpiew to jednoczył to dzielił drugi dyrygent zespołu i jego solista, młodzieniec o zawsze uśmiechniętej, rumianej twarzy i blond włosach. Był nim Franciszek Witkowski. Już wówczas — a trzeba pamiętać, że to początki jego karjery — Witkowski potrafił nadać grze prowadzonego przez siebie zespołu cechy swej indywidualności. Objawiała się ona postawieniem na plan pierwszy w opracowaniu każdego utworu strony czysto muzycznej, przy równoczesnem pomniejszeniu roli samej techniki gry, jej nadmiernej wirtuozerji i krzykliwości.

— — — — — — —

Mijały lata, w których talent Witkowskiego dojrzał do podjęcia decydującej próby stworzenia własnego zespołu, stawiającego interpretację kompozycyj tanecznych na wyżynie prawdziwego muzycznego artyzmu.



Próba ta w pełni się powiodła. Dziś orkiestra Witkowskiego osiągnęła poziom najlepszych anglo-saskich zespołów i jako taka stanowi u nas wyjątek. Tem też łumaczy się fakt, że jest wszędzie w kraju zapraszana. Ogólną sensację wzbudził niedawno temu występ zespołu Witkowskiego na reprezentacyjnym balu Związku bawełnianego w Gdyni, na który polski „król jazzu" poleciał ze swą orkiestrą specjalnie na ten cel wynajętym samolotem. Wkrótce Witkowski wyruszy na podbój zagranicy... Tam „polski Whiteman" napewno nie przyniesie nam wstydu.

J. L.



# JAK SPĘDZAM WAKACJE?

**5 cennych nagród!**



**„Kąpiel poranna"** — Fot. Jerzy Łuczyński: Warszawa.



**„Lipcowa idylla"** — Fot. mgr. Zofja Żurowska. Lwów.

W ub. sobotę minął ostateczny termin nadsyłania zdjęć na Konkurs wakacyjny, który tem samem został już zamknięty. Obecnie Redakcja Magazynu „As" zamieszczać jeszcze będzie te wszystkie zdjęcia, które na to zasługują ze względu na swe walory kompozycyjne i techniczne, jak to zresztą zapowiedziane było w warunkach Konkursu, poczem przystąpi do rozdzielenia pięciu cennych nagród. Zaznaczyć raz jeszcze wypada, że tylko ci uczestnicy Konkursu, którzy wykazali się poświadczeniem prenumeraty — przynajmniej kwartalnej — Magazynu „As", będą mogli uczestniczyć w rozdziale nagród. Zdjęcia nie przyjęte do Konkursu wakacyjnego, bo nie odpowiadające jego warunkom, zostaną zwrócone autorom po nadesłaniu znaczka pocztowego.



**„Na wyprawie rybackiej"** — Fot. Włodzimierz Strzelbicki. Grudziądz.



**„Uwaga! woda jest zimna"** — Fot. Zbigniew Ciećkiewicz. Ostrów Wlkp.

**SPINACZKA**

**Zdjęcie z Konkursu wakacyjnego.**



# Iluzjonista amator

## POPISUJE SIĘ SWĄ SZTUKĄ

## w Salonie

*Na zakończenie serji sztuk magicznych, zamieszczonej częściowo w poprzednich numerach Magazynu „As“, podajemy dziś trzy jeszcze tricki wraz z objaśnieniami dla tych wszystkich, którzy pragną wzbogacić swój repertuar rozrywkowy i popisywać się nim w gronie znajomych.*

*Red.*

V.

**ZŁAMANA ZAPAŁKA.**

Do wykonania tej sztuki bierzemy większą chustkę do nosa, ale koniecznie taką, która posiada odpowiednio szeroki obrąbek. Jeszcze przed przystąpieniem do publicznych produkcyj nacinamy w obrąbku małą dziurkę, przez którą wsuwamy do jego wnętrza kilka zapałek. Im więcej ich włożymy, tem częściej możemy trick powtórzyć. Teraz zaczynamy przedstawienie, prosząc kogoś z widzów, by połamał na kilka nawet części swoją zapałkę *(musi ona być zupełnie podobna do tych, które wsunęliśmy do obrąbka chustki)* i następnie włożył jej części do trzymanej przez nas chustki.

Teraz zkolei sięgamy jedną ręką do wnętrza złożonej chustki, podczas gdy drugą trzymamy chustkę zwiniętą i tem samem zasłaniającą przed oczami widzów nasze manipulacje. Polegają one na zręcznem wydobyciu z obrąbka jednej z naszych zapałek, którą następnie wyciągamy z chustki i pokazujemy publiczności, chowając połamaną zapałkę w zamkniętej dłoni, lub, jeśli okoliczności pozwolą, do którejś z kieszeń marynarki czy kamizelki.



Na lewo: Podczas gdy rozdzieramy przednią stronicę gazety, drugą, za nią ukrytą zręcznie składamy



Na lewo: ...by w końcu wszystko razem zmiąć w jedną kulę.



Na lewo: Na końcu rozwijamy niepodartą stronicę, ukrywając zręcznie w marynarce resztki drugiej, którą podarliśmy.

VI.

**POCIĘTA GAZETA.**

Napewno widzieliście już nieraz ten trick na jakiejś scenie w wykonaniu zawodowego iluzjonisty. Można go demonstrować tylko w pewnem oddaleniu od widzów. Należy jednak podczas produkcyj dużo mówić — najlepiej opowiadać jakieś zabawne historje, aby odwrócić uwagę publiczności od naszych czynności. Zasada tricku jest bardzo prosta — tak prosta, że nikt na nią nie wpadnie.

Do wykonania tej sztuki potrzeba tylko dwóch stronic gazety większego formatu. Bez żadnych wstępnych przygotowań przystępujemy do pokazu, trzymając przed sobą obie stronice, przyczem jednak musimy to tak robić, aby publiczność widziała tylko jedną z nich. Teraz zaczynamy rozdzierać kawałek po kawałku widocznej stronicy, a równocześnie drugą składamy w miarę konieczności, ciągle ukrywając ją przed publicznością. Wreszcie dochodzimy do momentu, gdy pierwsza stronica poćwiartowana jest na kawałki wielkości pocztówki, a druga złożona do tych samych rozmiarów. Wówczas robimy z ćwiartek pierwszej i złożonej drugiej stronicy jedną wspólną kulę, której połowa zawiera te ćwiartki, a połowa złożoną stronicę.

Odwracamy teraz kulę do publiczności połową, w której ugnietliśmy całą stronicę i zaczynamy ją powoli rozwijać. Musimy tylko bardzo uważać, aby podczas tego nie rozleciała się druga połowa kuli z ćwiartkami potarganej stronicy. W miarę rozwijania gazety zasłaniamy nią ćwiartki, które zręcznie ukrywamy pod marynarką (jak na ilustracji). Aby trick zupełnie się powiódł, musimy



Na lewo: Dzielimy gazetę na dwie połowy...



Na prawo: ...które razem zwijamy w rulon.



Poniżej na lewo: Rulon dzielimy do 2/3 długości na 2 części...



Powyżej na prawo: ...a z tych każdą przepoławiamy.



Na lewo: Potem wyciągamy górną ćwiartkę z wnętrza rulonu...



**Na prawo: ...coraz wyżej (najlepiej z pomocą czarnej nitki)**

go porządnie przećwiczyć przed lustrem. Wykryje nam ono wszystkie błędy, które popełniamy i spełni rolę krytycznego widza.

VII.

## SŁYNNY TRICK Z DRZEWKIEM MANGO.

Zapewne niejeden z czytających te słowa miał już okazję do podziwiania słynnych sztuczek fakirów, polegających na podnoszeniu się w górę, bez widocznej pomocy z czyjejkolwiek strony, liny swobodnie leżącej na ziemi, lub też na nagłym wzroście drzewa mango, które w oczach kiełkując, rośnie jak na drożdżach. O ile o pierwszej sztuczce istnieją różne zdania, to druga dawno już została zbadana i nie zawiera w sobie nic tajemniczego.

Trick z drzewem mango odbywa się w ten sposób, że przed fakirem, siedzącym na swoim dywaniku na środku ulicy, stoi mała doniczka z ziemią, do której wkłada on ziarnko. Następnie polewa ziemię wodą z kamiennego garnka, wachluje doniczkę połami swego ubrania i nakrywa ją na krótką chwilę. Odsłoniwszy potem doniczkę pokazuje widzom małą roślinkę, która z niej wyrosła. Znowu na chwilę płaszcz fakira zakrywa doniczkę, by po kilku sekundach ją odsłonić i wówczas widz przekonuje się, że roślina wzrosła o kilka centymetrów. Te manipulacje odbywają się parokrotnie i tak długo, dopóki z rośliny nie wyrośnie okazałe drzewko.

Postarajmy się zimitować tę fakirską sztuczkę sposobem „domowym". Do tego celu służyć nam będzie gazeta o kilku stronicach w dużym formacie. Dzielimy ją na dwie połowy, które składamy i następnie zwijamy w rulon. Zkolei ten rulon przepoławiamy wzdłuż do 2/3 jego długości na dwie części, a potem każdą z nich znowu na dwie części. Jak to widzimy na obok zamieszczonem zdjęciu, uzyskujemy w ten sposób coś w rodzaju dużego kwiatu, o potarganym kielichu. Teraz do górnej warstwy zwisających strzępów gazety przymocowujemy długą czarną nitkę, wsadzamy podstawę rulonu do doniczki napełnionej ziemią i przystępujemy do wykonania sztuczki.

Aby produkcji nadać jak najwięcej cech podobieństwa do klasycznych wzorów hinduskich, wdziewamy odpowiedni strój na siebie, zawieszamy jako tło czarną kotarę i przyciemniamy nieco światło. Wymawiając różne bzdurne słowa jako rzekome zaklęcia, podciągamy z pomocą czarnej nitki, niewidocznej na tle kotary, wewnętrzne zwoje rulonu gazety, przez co imitujemy „nadprzyrodzony" wzrost drzewa mango. Rulon bowiem, rozwijając się ku górze, tworzy jakgdyby wysmukłą łodygę rośliny, z której zwisają po bokach jako liście strzępy gazety. I ten trick wymaga umiejętnego zasugerowania widowni, że to, co się dzieje, nie jest fałszerstwem, lecz prawdą.

**Scott.**







**Od lewej: Oto trzy momenty „cudownego" wzrostu drzewka mango, zrobionego z papieru.**



Powyżej: Obiad pod namiotem.

**1** = Przez cały dzień w wodzie.

**2** = Rozmowa z hucułem.

**3** = Na „hamowance“ w Kraśniku.

**4** = Co przynosi ostatni „As“?

Poniżej: Opowiadanie „kermanycza“.



1



2



3



4



Dziki Czer osz płynący przez piękny zakątek naszego kraju — Huculszczy na, jest bezwątpienia najładniejszą górską rzeką Polski. Rzeka biorąc swój początek w sztucznych jeziorach — zwanych klauzami (Łostuń i ybene), nie spływa jak inne spokojnym biegiem, lecz przewala się p kamienne progi i wodospady. Niemniej Czeremosz stanowi główną roge komunikacyjną Huculszczyzny i tędy odbywa się transport olbrz ich ilości drzewa, które powiązane w tratwy, spławiane jest prz huculów-flisaków, zwanych „Kermanyczami“. Prowadzenie „daraby“ est ciężką i niebezpieczną pracą. Nieraz zdarza się, że cały spław roz t się na kamieniach lub spiętrza w „zahatach“, a ker-

# NA WODACH CZEREMOSZU



Cz mosz koło Dżembroni.
Wszystkie zdj Dr. Stanisław Bialikiewicz — Lwów.

manycze ledwie chodzą z życiem. Mimo to zawód kermanycza jest u huculów pow any, zuchwała bowiem walka z żywiołem odpowiada ich dzikiej natu e.

Dla kajakowc ten szlak wodny, dzięki dużemu spadkowi rzeki, jest najciekawszą i ładniejszą wycieczką kajakową, która sowicie wynagradza trudy t sportu kajaka i 70-cio kilometrowej jazdy konikami z Worochty.

Niebezpieczeńs wa i niespodzianki bezustanku czyhają na śmiałka, który dostawszy się raz na bystry nurt rzeki, rzucany bez przerwy na wystające głazy nie może myśleć o wyszukiwaniu wśród kamieni przejścia dla swej ło a, lecz musi decydować się szybko, mieć ciągle otwarte oczy i natężoną uwagę. Nieraz jedno uderzenie wiosła ratuje od wywrotki lub rozbicia kajaka, to też wycieczka ta dostępna jest jedynie dla wprawnych kajakowców.

Czeremosz w swym początku, na wysokości Burkutu i Szybenego jest jeszcze stosunkowo dość spokojny. W miarę wzrostu spadku staje się jednak coraz niebezpieczniejszy, a fale raz po raz przewalają się przez burty. W okolicy Dżembroni przełamuje się przez pasmo Kostrzycy i tutaj rzeka zamienia się w kłębowisko wirów i piany, hucząc wściekle wśród skalnych progów. Przejechanie tego odcinka nastręcza tyle emocji, że miło jest potem rozbić namiot, wysuszyć przemoczone rzeczy i opalać się na słońcu. Miejsce zaś na obozowisko jest wymarzone. Rzeka poniżej miejsca zwanego „Mały Huk“ zamknięta „hamowanką“, tworzy jeziorko, w którem woda czysta jak kryształ, pozwala godzinami przyglądać się zwinnym rybom przewijającym się miedzy kamieniami. Z przepustu spada z hukiem wodospad, który bezskutecznie usiłują przeskoczyć srebrzyste pstrągi i głowacice. Wyskakują one z białej kipieli nieraz na wysokość metra, aby dostać się w górę do jeziorka.

Okolica zamieszkała jest przez lud z natury bardzo gościnny i odnoszący się do turystów nadzwyczaj serdecznie. Stoki górskie pokryte są mnóstwem jagód, a małe hucułki przynoszą koszyki pełne malin i grzybów.

*Krystyna Bialikiewicz.*

# ROZKOSZE *gościnności*



**Gościnność uzgadnia się dziś ściśle z... kalendarzem!**

W[illegible] czynnikiem w układaniu się stosunków towarzyskich między ludźmi kulturalnymi jest gościnność. Chwalona przez ludzi, lubiących towarzystwo, pożądana przez tych wszystkich, którzy nie posiadają własnego domu i skazani są na „kibicowanie“ szczęściu rodzinnemu w domu przyjaciół, gościnność nieraz staje się podwaliną trwałej przyjaźni, a brak jej powoduje nieporozumienia, „kwasy“ towarzyskie i oziębienie się stosunków.

Wszyscy znamy staropolskie przysłowie: „gość w dom, Bóg w dom“, wszyscy też bez wyjątku chwalimy się przed cudzoziemcami naszą gościnnością, uważając ją za jedną z głównych cech narodowych i oznakę naszej wyższości towarzyskiej wobec innych narodów. Ale przyjrzyjmy się zbliska temu pięknemu zresztą objawowi, jakim jest gościnność, a zauważymy, że poetyzując tę cechę, jesteśmy nieco nieścisli. Bo na jakichże podstawach psychologicznych i technicznych życia wytworzyła się ta słynna u nas gościnność? Nie narazimy się na określenie ludzi, nie rozumiejących przeszłości, gdy powiemy, że dawna gościnność oparta była przedewszystkiem na... egoizmie! Tak, na egoizmie, ubranym w piękne i zresztą dla otoczenia miłe formy. Bo pomyślmy sobie tylko, jakie życie prowadził szlachcic wiejski (a taki właśnie był najbardziej gościnny) w swoim majątku? Sąsiedztwa dalekie, drogi trudne do przebycia, lasy pełne zwierza nieraz groź-



**...gość na wsi był nieocenionym kompanem...**

nego lub, często, opryszków czyhających na przejeżdżających, to wszystko razem wzięte utrudniało mu kontakt z ludźmi, skazywało na monotonję, jaką dzisiaj trudno sobie wyobrazić i czyniło każdego człowieka zajeżdżającego do dworu cennym „nabytkiem“. Przybysz taki, zwłaszcza jeśli posiadał swadę i... fantazję, zaopatrywał dom w wiadomości o całym świecie, znosił nietylko plotki z okolicy, ale też wiadomości praktyczne, potrzebne w gospodarstwie, informował o zdarzeniach politycznych, był jednem słowem nieocenionym kompanem, tem więcej, że rozpraszał ową nudę, nieznośnie unoszącą się nad domem ziemiańskim. Nic więc dziwnego, że gościa takiego nieraz trzymano siłą w domu, że nietylko chowano mu ubranie po szafach, ale odkręcano koła od kolasy czy karety, aby nie mógł się ruszyć z miejsca. Nierzadkie były wypadki, że przesadna gościnność była powodem poważnych zajść, gdyż gość, jakkolwiek ujęty dobrem przyjęciem, chciał wkońcu wyruszyć w dalszą drogę, a to właśnie było nie na rękę gospodarzowi. Wynikały z tego nawet pojedynki i tak nieraz, kończyły się rozkosze gościnności. Podobne powody kierowały ludźmi, zatrzymującymi w swym domu będących dzisiaj na wymarciu rezydentów, którzy, jak Polska szeroka i długa, byli ozdobą czy też raną każdego zamożniejszego dworu. Zapewne, że i względy dobrego serca, życzliwości i solidarności rodzinnej powodowały naszymi przodkami, trzymającymi w swym domu ludzi na łaskawym chlebie, ale w większej bodaj mierze działo się to również ze względów praktycznych. Rezydentem takim można było się wyręczyć, mógł on od biedy dojrzeć na folwarku, mógł zająć się gospodarstwem. Jak dalece dom staropolski obfitował w gości, dowodzi fakt, że matka wielkiego naszego uczonego Tadeusza Czackiego, z domu Dębińska, przez całe nieomal swe życie wstawała o niezwykle wczesnej godzinie, i do późnej nocy zamęczona była dawaniem rozporządzeń i dopatrywaniem domu, gdyż cały pałac w Porycku, zawsze, od świtu do wieczora, zapełniony był gośćmi, zjeżdżającymi do państwa Czackich hurmą i zostając na długie nieraz tygodnie. Trzeba przytem pamiętać o tem, że utrzymanie nic nieomal nie kosztowało, życie było tanie, a jadła i trunku zawsze dosyć było na wsi, aby utrzymać nawet licznych gości. Gość w dawnym świecie był żyjącą, jeżdżącą gazetą, był tygodnikiem filmowym PAT'a czy Paramount'u, udźwiękowionym w miarę gadatliwości i pomysłowości, i spełniał te wszystkie funkcje społeczne, jakie dzisiaj wykonuje film, radjo czy gazeta.

Nie starajmy się jednak sprowadzić gościnności do jej najgorszych stron: prawdziwa, szczera, bezinteresowna gościnność, polegająca na wspólnych z gościem upodobaniach, chęci wymiany myśli, poglądów, na inteligentnej potrzebie miłego towarzystwa jest i dziś szlachetną i naprawdę dodatnią cechą. Ale o ileż trudniej o realizację tych upodobań towarzyskich! O ileż trudniej móc zaprosić kogo i kiedy się chce i móc ich odpowiednio przyjąć! Na marginesie pojęcia gościnności warto wspomnieć o oryginalnym zwyczaju panującym u Hiszpanów, a sięgającym zapewne czasów, kiedy kraj ten był niezmiernie bogaty, a złoto sprowadzane z Ameryki Południowej pozwalało bogatym grandom i hidalgom zaspakajać każdą zachciankę. Gdy oto jest się gościem w zamożnym domu hiszpańskim i pochwaliło się ten lub ów przedmiot, zdarza się często, że następnego dnia gospodarz przesyła chwalony przedmiot, jako prezent. Gdy mimo wymawiania się od tak cennego upominku, ofiarodawca obstaje przy jego przyjęciu, gość nolens volens akceptuje dar i... popełnia olbrzymi faux pas! „Antidotum“ na gościnny gest ofiarodawcy jest bowiem zwyczaj odsyłania prezentu następnego dnia i wtedy obie strony są najzupełniej zadowolone! Tak więc zależnie od warunków życiowych zmieniało się też oblicze gościnności: gdy w przeszłości była ona koniecznością, dziś stała się luksusem ludzi zamożniejszych. Inne oczywiście trzeba więc stosować do niej kryterja, inne pojęcia.

Największym dzisiejszym wrogiem gościnności jest, bezwątpienia, brak czasu. Zaabsorbowanie czynnościami zawodowemi, wielkie odległości w mieście, wkońcu konieczność liczenia się z porą dnia, utrudniają ten miły „sport“ towarzyski. Ale i na to są sposoby: auto i telefon znów zbliżają ludzi, tak, że przy dobrej organizacji życia można i te trudności pokonać. Wyrobił się jednak inny „kodeks“ gościnnościowy; gdy dawniej gość zawsze był mile widziany, dziś trzeba o swej wizycie uprzedzić gospodarzy na pewien czas naprzód lub poczekać na urządzane przez nich przyjęcie w określone dni czyli t. zw. „jour-fixes“. U nas w Polsce przyjęcia odbywają się, po większej części, jeszcze w dawnych ramach: obiad lub kolacja, herbatka popołudniowa, raut i na tem koniec. Nie doszliśmy do tego sprecyzowania tych przyjęć jak to się stało w Anglji, gdzie życie towarzyskie rozwinęło się, na tle wielkiego dobrobytu do niezmiernie skomplikowanego kodeksu towarzyskiego, w którym obcy, nie znający zwyczajów, czuje się jak w lesie. Bo gdy pomyślimy, że Anglik rozróżnia przyjęcia w rodzaju lunch, tea-party, cocktail-party,



**Gość przychodzący w niewłaściwej chwili!**

tea for two, dinner, poza „normalnym“ rautem i five-o'clockiem, to zrozumiemy, iż nagięcie się do tych konwenansów nie jest rzeczą tak łatwą, skoro i tualeta pana i pani musi być odpowiednio dostosowana.

Zmienione oblicze gościnności wymagałoby ujęcia zasad właściwego udzielania jej i korzystania z niej, w kilku zasadniczych punktach. Zdaje się, że każdy zgodzi się na następujące:

1. Chcąc być miłym gościem nie należy zbyt często korzystać z gościnności znajomych.

2. Należy wyczuć właściwą chwilę na odwiedzanie znajomych, co, zresztą jest kwestją psychologiczną i wymaga pewnej bystrości w obserwacji'

3. Korzystając z gościnności trzeba się też odpowiednio odwzajemniać.

4. Idąc na przyjęcie musimy się nastroić do towarzystwa, jakie tam zastaniemy. Niema nic gorszego, jak być przekonanym, że znajdziemy się „w małem kółku“ a zastajemy naraz liczne grono znajomych.

Nie wyczerpiemy tego tematu, ale chcieliśmy tylko naszkicować pewne jego strony i zwrócić uwagę na zmiany, które zaszły w tej dziedzinie. Praktyczne zastosowanie tych i wielu innych nasuwających się jeszcze uwag i obserwacyj, zależy oczywiście od indywidualnej zdolności człowieka, tak, aby był „the right man on the right place“.

JGM.

# ZABYTKI MÓWIĄ O PRZESZŁOŚCI CIESZYNA


Herb Cieszyna.

Ujęte w kamienne obramowanie źródełko cieszyńskie Trzech Braci, zwane „studnią bracką“, to najstarszy ślad powstania tego miasta, które w chwili obecnej zajmuje najżywiej opinję polską, jako stolica Śląska zaolzańskiego.

Napis, umieszczony przy tem źródle, głosi: „Roku 810 wiaropodobne założenie miasta Cieszyna, przez trzech synów Leszka III., króla polskiego. Trzej bracia, książęta Bolko, Leszko i Cieszko, zeszli się po długiej wędrówce przy tem źródle i ciesząc się, zbudowali na pamiątkę miasto, które miano Cieszyn otrzymało“.

Mroczne są dzieje początków miasta. Mimo to w r. 1810 obchodzono uroczyście tysiąclecie jego założenia. Obecny Cieszyn powstał prawdopodobnie znacznie później. Stary Cieszyn był warownem grodziskiem, które istniało już na parę wieków przed założeniem dzisiejszego miasta.


Plafon w sali rzymskiej.


Sala ze zbiorami bibljotecznymi.

O kasztelanji cieszyńskiej odnajdujemy wzmiankę w dokumencie papieża Hadrjana IV z r. 1155. W miejscu, gdzie dzisiaj stoi miasto Cieszyn, szumiały wówczas odwieczne bory, wśród których wznosił się ku niebu z góry zamkowej dym ofiar, składanych na cześć pogańskich bóstw...

Z pod Krakowa przybyli Benedyktyni z Tyńca, sprowadzeni przez księcia Kazimierza Opolskiego i zagospodarowali urodzajne ziemie po obu brzegach Olzy. W r. 1290 po śmierci księcia Władysława Opolskiego, Cieszyn staje się oddzielnem księstwem pod panowaniem księcia Kazimierza. Odtąd pozostaje przy Piastach aż do r. 1625, gdy ze śmiercią Fryderyka Wilhelma wygasł ród Piastów cieszyńskich. Jeszcze do r. 1653 sprawowała rządy Elżbieta Lukrecja Piastówna, a odtąd zmienną losów koleją księstwo cieszyńskie przechodziło z rąk do rąk, aż pozostało przy Habsburgach, by częściowo w r. 1919 wrócić w skład ziem Rzeczypospolitej i doczekać się obecnie złączenia z zachodnim brzegiem Olzy.

Chcąc zagłębić się w dzieje Cieszyna, nie wystarczy przejść obok góry zamkowej i podumać przy wieży piastowskiej, będącej pozostałością dawnego zamku, ze szczytu której rozciąga się niezapomniany widok na Zaolzie. Trzeba wejść do Muzeum Miejskiego, którego zbiory przemawiają żywem świadectwem polskości tych ziem.

Pierwsze muzeum założył w Cieszynie około r. 1802 Leopold Szersznik. Zbiory skompletowywali różni działacze, jak ks. Ignacy Świeży, ks. J. Londzin. Obecnie dyrektorem jego jest znakomity historyk Franciszek Popiołek. mrówczą swą pracą doprowadzający urządzenie sal muzeum do poziomu nowoczesnych wymagań.

Przechodząc kolejno sale muzeum, podziwiamy najpierw zabytki sztuki kościelnej. Zwracają wśród nich uwagę późnogotyckie obrazy ołtarzowe z Puńcowa, Jasienicy, Ogrodzonej, dalej późnogotyckie statuetki z drzewa, rzeźby barokowe, organy w stylu rokoko, zabytkowe ornaty itd.


Rokokowy zegar z orkiestrą aniołków.

Poniżej: Moneta z podobizną Elżbiety Lukrecji, ostatniej księżnej z rodu Piastów śląskich.



Sala następna zawiera barwne stroje ludowe. Śląskie czepce, złotolite, dawne płaszcze cieszyńskie, ozdoby srebrne, cieszyńskie pasy, „hoczki“, łańcuchy, guziki, żywotki cieszyńskie, gorsety jabłonkowskie, białe hafty cieszyńskie oraz malowane skrzynie, przypominające skrzynie krakowskie.

Przechodzimy do sali z biegnącym górą fryzem malowanym z motywów na skrzyniach. Tu widzimy sprzęty domowe, przęśliczki, pługi, instrumenty muzyczne, okazy ceramiki śląskiej z połowy XVIII w., dzbanek z cynową pokrywą z r. 1563 oraz liczne rzeźby ludowe.

Inny nastrój posiada sala następna. Styl biedermajerowski, stare komody, rokokowy zegar z orkiestrą aniołków i kilka innych zegarów kurantowych. Cofamy się w przeszłość, przechodząc obok zbiorów przedhistorycznych i rzymskich. Unaoczniają one położenie Cieszyna na ważnym szlaku, wiodącym z południa na północ.

Dalej zbrojownia: wielkie strzelby, pancerze, polska „karacena“ i zbroja husarska z czasów Sobieskiego, który tędy przechodził ze swą armją pod Wiedeń. Okazy strzelb „Cieszynek“, wykładanych kością, to chluba dawnych cieszyńskich rusznikarzy, których wyroby dochodziły do Węgier i w wielkiej tam bywały cenie.

Prawdziwą osobliwość muzeum cieszyńskiego stanowią zbiory bibljoteczne. Mieszczą się one w osobnej sali parterowej, której sklepienie wsparte jest na jednej kolumnie pośrodku. Niktby nie przypuścił, że sala ta została przerobiona z dawnej stajni hr. Larischa, który był wielkim miłośnikiem koni i miał luksusowe dla nich pomieszczenie, w okrągłej sklepionej sali, przy marmurowych żłobach, które dziś jeszcze oglądać można poza jedną z szaf bibljotecznych.

Zbiory rękopisów zawierają nader rzadkie zabytki i dokumenty. Szczególnie wartościowa jest wielka księga Graduale, o pergaminowych kartach, zapisanych gotyckiemi literami. Pochodzi z XV w. i być może stanowiła własność księżnej Elżbiety Lukrecji. Zawiera ona najdawniej zapisaną melodję Bogurodzicy i pod względem muzykologicznym ma szczególnie wielkie znaczenie. Do początków XV w. należy również rękopis prawa magdeburskiego. Widzimy tu również czeską biblję z r. 1439, stary rękopis prawa ziemskiego z r. 1573 i wiele innych.

*Dokończenie na str. 20-tej.*

Dokończenie ze str. 19-tej.

Dział druków jest również imponujący. Wśród nich najstarszy polski druk „Ephemerides Joannis Cafmanni, Cracoviae 1532". Wiele jest cennych wydań z dziedziny archeologji, anatomji, sztuki, przyrody, prawa, historji, teologji itd.

Ciekawym działem zbiorów Muzeum jest sekcja etnograficzna uczniów gimnazjum cieszyńskiego, którzy z inicjatywy swego nauczyciela p. Małkowskiego, nagromadzili sporo zabytków sztuki ludowej, szczególnie góralskiej i postarali się o gabloty na ich pomieszczenie, tak, że powstało w ten sposób niejako osobne muzeum szkolne.

Cieszyn wcześnie zaprawiał się do życia społecznego i narodowego, które pulsowało i pulsuje tutaj tętnem może żywszem, niż gdzieindziej w Polsce. Odczuwało się to szczególnie w historycznych dniach powrotu Zaolzia w granice Rzeczypospolitej. Minęło niewiele dni od chwili, gdy runęły wzniesione wzdłuż Olzy w r. 1919 słupy graniczne... Życie w gmachach publicznych, czasowo przerwane, nanowo odżyło... — W Muzeum Miejskiem praca wre bez przerwy. Jego gorliwy dyrektor, p. F. Popiołek, stoi na straży zabytków, które mówią o polskości Śląska Cieszyńskiego. Ciszę, panującą w tem sanktuarjum sztuki, przerywają tylko tykania zabytkowych zegarów, które na swych tarczach znaczą już nie dziesiątki, ale setki lat. Oby ich kuranty jak najdłużej wygrywały dzisiejszą radość miasta — stolicy ziem odzyskanych!

**Jadwiga Harasowska.**

Dokończenie ze str. 2-ej.

ka tworzy honorowy szpaler, którym poetka przechodzi do powozu, wśród okrzyków tłumu.

Wreszcie osiąga szczyt karjery. Zostaje ni mniej, ni więcej — tylko królową. Tak królową. Czartoryska jest nią w Paryżu. Ona w Warszawie. W 1870 roku utworzono Królestwo Ideału, z Deotymą jako królową, a w pierwszą rocznicę panowania ofiarowano jej... srebrne berło. Nowokreowana królowa otwarła swe recepcyjne salony i przyjmowała, jak król Staś we czwartki. Znakomici poeci pełnili funkcje dworskie, a kronikarzem nadwornym został — młodziutki i pełen galanterji — Henryk Sienkiewicz. „Królowa" miała lat 36 i urodę, nic dziwnego zatem, że sława tego romantycznego dworu „pieśni i miłości" rosła z dniem każdym, a że niebylejaka była to sława, dowodem zaniepokojenie namiestnika hr. Berga, który zagroził Deotymie zesłaniem na Sybir i sam osobiście przybył do jej salonu we czwartek 9 marca 1872 roku. Tu jednak stwierdził, że błękitnooka królowa i jej wierni poddani nie zagrażają w niczem majestatowi Aleksandra II, natomiast, jak przystało, na królów na wygnaniu, nie mają czem nakarmić zbyt licznie zgromadzonych gości. W następstwie tej wizyty przyznano Deotymie 300 rubli rocznej emerytury. Przeznaczyła je na kościoły i ubogich — tym gestem prawdziwie królewskim, stwierdzając, że między słodkie dusery, olśniewający migot pająków, romantyczną iluminację i dyskretną muzykę fortepianu — wplótł się w jej życie — nieproszony i nieoczekiwany — akcent narodowy.

„Wątek romansowy" natomiast ukryty został przemyślnie za woalką melancholji, której pani w greckiej tunice, nie podnosiła nigdy wobec oczu niepowołanych...

Dokończenie ze strony 10-tej.

Galwestone, gdzie mieszkał w małym domku Morell. Gospodarz białego dworku — typowy Hiszpan, przyjął mnie jak najserdeczniej, ciesząc się z listów i pozdrowień od znajomych, które mu przywiozłem. — Z troskliwością wypytywał mnie o przebieg podróży i szczerze zmartwił się zajściem z Petersem, jakie miałem w gospodzie.

— Niech mi pan wierzy — powiedział — że tu, w Texas człowiek ostrzeżony wart jest dwóch ludzi. Trzeba działać ostrożnie i wybadać możliwości dalszej drogi, zanim pan ruszy przed siebie do Wisconsin.

W tydzień, dzięki dokładnie i przebiegle ułożonemu przez pana Morell planowi, dotarłem do małego miasteczka Nacogdoches, gdzie zajechałem do hotelu pod „Czarnym Orłem". Przedstawiłem się oberżyście, uwiadomionemu o moim przyjeździe. On to powiedział mi zaraz na wstępie, że w ciągu ostatnich dni dopytywano się już o mnie.

— Odzież i worek podróżny są tu zdobyczą, na którą czyha stu myśliwych — powiedział oberżysta. Niech więc Bóg ma pana w swej opiece.

Po chwili zaś dodał:

— Tak będzie najlepiej... Dziś jeszcze na ogólnej sali głośno zapowie pan swój wyjazd o świcie. Szpiedzy postarają się o tem donieść Petersowi. Pan jednak wyjedzie cichaczem już wczesną nocą..'

W dwie godziny potem udałem się pieszo, okólną drogą do lasu za osadę, gdzie spotkałem oberżystę. Razem po omacku ruszyliśmy w dalszą drogę. W gęstwinie nad brzegiem jeziorka, pełnego obrzydliwych gadów, natrafiliśmy ostatecznie na Indjanina, który miał być moim przewodnikiem. Łodzią przedostaliśmy się na drugą stronę jeziora, gdzie stały osiodłane konie.

— Dawno oczekiwałem na tę chwilę — odezwał się raptem oberżysta. — Prawdopodobnie będzie pan świadkiem wydarzenia, które, niech mi pan wierzy, będzie sprawiedliwą nagrodą dla Petersa za jego niecne czyny. Mój synowiec Ramon de Vigueyra urządzi panu niełada przedstawienie. Teraz, gdy nadeszła chwila naszego rozstania, mogę panu powiedzieć, że czeka on już oddawna na wizytę sędziego Petersa. Niech pan pozdrowi Ramona i jedźcie już szczęśliwie! Czas nagli!

Uścisnąłem rękę tego dziwnego człowieka, dosiadłem konia i galopem ruszyłem za jadącym przodem Indjaninem. Wiatr świszczał wkoło mnie, a ja rozpamiętywałem słowa oberżysty i starałem się odgadnąć, co czeka mnie u celu tej szalonej jazdy, wśród ciemnej, gorącej nocy.

Około dziesiątej — konie zwolniły biegu. Przed nami stał niewielki dom, nadzwyczaj masywnie zbudowany. Kiedy zsiedliśmy z koni, które służba odprowadziła do stajni przybudowanej do domu — zauważyłem, że ściany, okiennice i drzwi obite były blachą. Budynek robił wrażenie warowni, która w tych dzikich ostępach — bynajmniej nie mogła dziwić. Okolica jednak i surowe proporcje zabudowań robiły ponure wrażenie. Z niejasnem uczuciem lęku — przekroczyłem progi, w które zapraszał mnie człowiek oświetlający drogę latarką.

Już wewnątrz poznałem gospodarza. Razem z nim weszliśmy do pokoju surowo umeblowanego. Ściany pokryte były bronią tubylców i kolekcją strzelb. Don Ramon de Vigueyra — należał do tych ludzi, których wieku nie można określić. Poruszał się jak młodzieniec — twarz jego jednak posiadała dziwne cechy stężałego bólu, wyczekiwania i dzikości. Oczy świeciły drapieżnie, a usta o słodkim wykroju zaprzeczały im, drżąc namiętnie. Odczułem, że człowiek ten postarzał się przedwcześnie na skutek jakichś przejść. Kiedy starałem się rozwiązać zagadkę twarzy Don Ramona, nalewającego mi wino — wszedł do pokoju olbrzymiego wzrostu murzyn.

— Co pan rozkaże? — zapytał

— Przygotuj Jowiszu, wszystko tak jak zostało uplanowane. Pamiętaj, by zwierzęta nie otrzymały zbyt wielkiej porcji jedzenia... I sprawdź jeszcze, czy ludzie w zasadzce czuwają. Najeźdźcy nie mogą nam ujść dzisiejszej nocy.

— Tak panie! — zęby murzyna błysnęły w uśmiechu.

Czułem się coraz bardziej nieswojo. Wreszcie zdobyłem się na pytanie:

— Panie! Przybywam tu skierowany przez pana Morell. Zapowiadał on, że spotka mnie jakaś przygoda. Czy mogę dowiedzieć się wcześniej, co szykuje się w tym dziwnym domu?

Gospodarz przez chwilę wahał się.

— Żyjemy tu jak wilki — mój panie. — Nigdy nie zaznałem słodyczy obcowania z kobietą. Nie mam żony. Żyję tu wśród półdzikich ludzi i dzikich zwierząt. Spędzam czas na polowaniu, a treścią mego życia jest oczekiwanie. Dziś — dzięki panu — treść ta nabierze wartości. Zdaje mi się, że już wieki przeszły nad moją głową — tak czuję się zmęczonym... Pana chcę prosić, by pan nie pytał o nic więcej i nie rozdzierał starych, głębokich ran i aby pan zapanował nad swoimi nerwami, gdyby nawet zdarzyło się coś strasznego...

Po wieczerzy udaliśmy się do stajni, gdzie Don Ramon pokazał mi gromadę ogromnych, dzikich nieomal psów, z rasy tych zwierząt, z którymi w Ameryce polowano na Indjan.

Gdy de Vigueyra udzielał mi objaśnień, murzyn Jowisz sprowadził jedno z tych zwierząt — które przyniosło wieść w metalowej skrzynce od oberżysty, że Peters ze swoimi ludźmi rzucił się w pogoń za mną.

Pospiesznie wróciliśmy do domu. Służba pozamykała szczelnie okiennice. Pogaszono światła, poczem Don Ramon wszystkim rozdzielił broń i wyznaczył pozycję przy strzelnicach w oknach. W chwili, kiedy ładowałem strzelbę, rozległ się podwójny świst.

— Otóż i oni...

Wpatrzyłem się w mroczną dal przez wycięcie w okiennicy. Kilkudziesięciu jeźdźców galopowało w stronę domu. Zatrzymali się. Usłyszałem wołanie:

— Hallo — otwórzcie władzom. W domu waszym przebywa szpieg. Wzywa was do posłuszeństwa sędzia Peters!...

— Łotrze — odpowiedział mój gospodarz.

— Masz do czynienia z Ramonem de Vigueyra. Jeśli chcesz tego człowieka — zbliż się...

Jedyną odpowiedzią był grad kul, które uderzyły w żelazne blachy. W tej chwili dzikie ujadanie psów, zgiełk i harmider nie do opisania wstrząsnęły powietrzem.

Straszliwy dramat, którego byliśmy biernymi świadkami — rozegrał się poza ścianami tego cichego domu. Klątwy i błagania o ratunek konających, jęki rozszarpywanych przez psy ludzi i warkot rozbestwionych zwierząt — wydobywały się z czarnej czeluści — stwarzając wizję czegoś nierealnego...

Trwało to kwadrans. Nad domem i odwiecznym lasem wokoło — legła cicha, tępa noc. Złowróżbne echa umilkły. Stałem pośrodku pokoju bezradnie z uczuciem nieprzezwyciężonego wstrętu i przerażenia. Wtedy padły w ciszę słowa Don Ramona — ciężkie i powolne, jak ołów:

— Poważam pańskie uczucia. Odgaduję, co się w panu dzieje... Ale to się stać musiało. Lata męki i oczekiwania złożyły się na to. Tego chciało niebo Texasu — żądne krwi...

I nic więcej. Ani jednego słowa wyjaśnienia. Zdawało mi się, że w tym człowieku coś się załamało. Jego puste oczy już nie świeciły groźnie. Były teraz pustymi oczodołami — istoty, która zapadła się w grób...

O świcie wyjechałem nie żegnany przez nikogo. Do Saint Louis odprowadził mnie Indjanin. Kiedy zdala zobaczyłem miasto — machnął mi rękę i zawrócił.

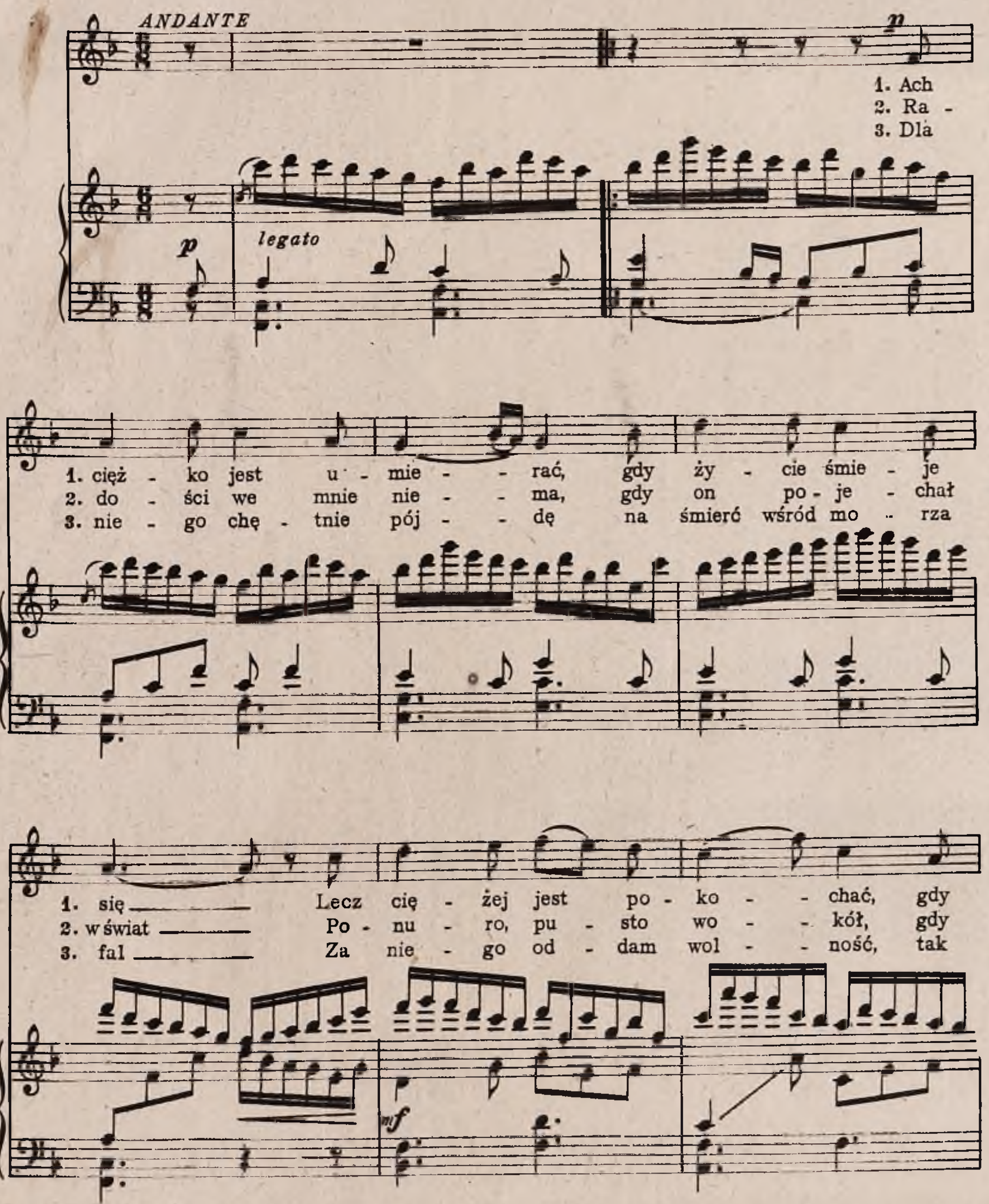
**JESIENNY STAFAŻ**

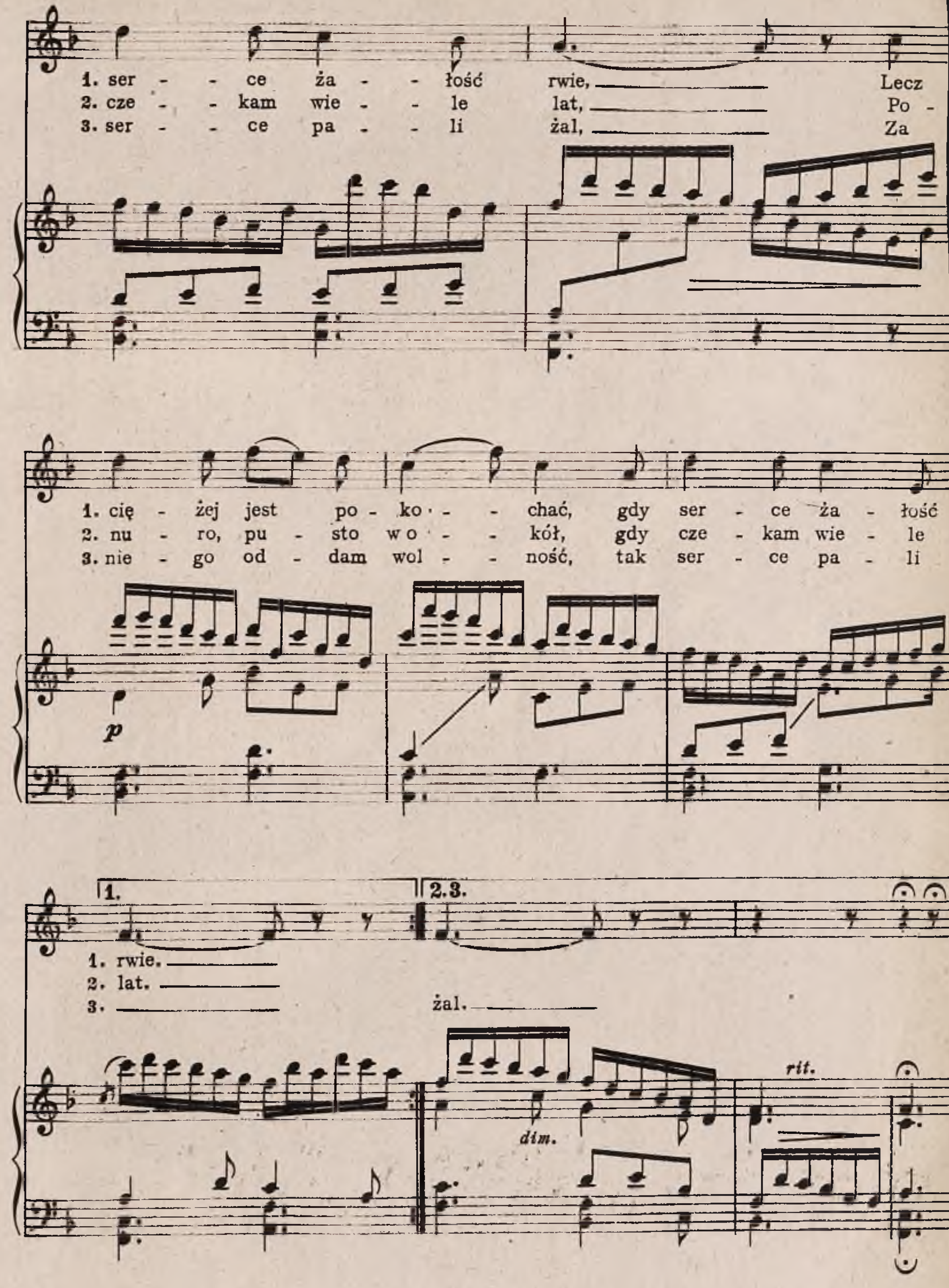
**FOT. SPEHNER — STRASBURG**



# Piosenka chorwacka

Opracowanie:
WŁODZIMIERZ POŹNIAK




WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE ZASTRZEŻONE

# Przyjaciel

JERZY ROZWADOWSKI

N · O · W · E · L · A

Od samej chwili swych narodzin lotnictwo otoczyło się jakąś dziwną, owianą mgłą przesądów tajemnicą. Ludzie powietrza uchodzili za jakichś desperatów, dla których życie straciło cały swój sens i wartość. Patrzono na nich z uznaniem i podziwem, zmieszanym z odrobiną lęku. Lotnik! Synonim młodzieńczej brawury, ujarzmiający na swym stalowym ptaku ocean powietrzny, szaleniec, igrający ze śmiercią, czyhającą na śmiałka, który ośmielił się rzucić jej rękawicę prosto w trupią, szczerzącą groźnie zęby, twarz.

Gdy zwycięski żołnierz polski wyrąbywał szablą i bagnetem dzisiejsze granice Rzeczypospolitej, lotnictwo stawiało dopiero pierwsze młodzieńcze kroki. Stare, powiązane drutem i sznurkami aparaty, kilkudziesięciu ludzi, gotowych na wszystko — tak wyglądała wojenna flota powietrzna dźwigającej się z kajdan wolnej Polski. Oficjalne statystyki strat i wiele, wiele mogił, rozsianych po wszystkich rubieżach kraju są najtrwalszym pomnikiem, który świadczyć będzie po wsze czasy o bohaterstwie i poświęceniu polskiego pilota.

Wielu z nich pozostało do dziś legendarnemi wprost postaciami. Tak jak tajemnicze było życie człowieka-ptaka, tajemnicza była i śmierć niektórych.

Może komuś wyda się to śmieszne, ale jednak w lotnictwie istniał zawsze, i zawsze pozostanie pewien pierwiastek tajemniczości, który nie da się nigdy przeniknąć.

Czasy się zmieniły. Staranne wyszkolenie personalu, świetne maszyny i surowe przepisy zredukowały do minimum liczbę wypadków. Ogólna organizacja wtłoczyła lotników w ciasne ramy regulatorów, zmieniając do gruntu odrębny dotychczas charakter służby rycerzy powietrza. Tak być musiało. Lotnik jest żołnierzem, jak piechur i kawalerzysta.

Tradycja, zachowywana przedtem, ucierpiała jednak bardzo znacznie. Większość pilotów śmieje się ze starych przesądów i zabobonów. Jest to zrozumiałe. Szalony rozwój żeglugi powietrznej idzie naprzód z coraz większym rozmachem. — Zmieniają się maszyny — zmieniają się ludzie. W XX wieku niema czasu na sentymenty.

Chyba, że czasem zdarzy się coś takiego, co każe zastanowić się poważnie nad tem, że jednak w życiu lotnika bywają wypadki, „o których nie śniło się nawet filozofom".

Stary „Bréguet" Nr. 60.61 z Eskadry Treningowej, który pogrzebał pod swymi szczątkami porucznika Stefana Harnisza, złożony w kącie hangaru, sterczał wgórę wywichniętymi boleśnie kikutami podłużnic i żeber. Zgnieciona w harmonijkę kabina patrzyła martwymi oczodołami deski rozdzielczej, z której wymontowano posiadające jeszcze jakąś wartość zegary. Stłamszone płótno skrzydeł, okryte grubą warstwą kurzu, walało się między rumowiskiem metalowego szkieletu, zwisając w długich strzępach na stojaki i resztki podwozia.

— Wykończył się gruntownie razem ze Stefkiem, co? — przerwał długie milczenie Wilecki.

Rylski nie odpowiedział ani słowa na pytanie, rzucone przez kolegę.

———

Przyjaźń, jaka zawiązała się między podporucznikiem-pilotem Kazimierzem Rylskim i porucznikiem-obserwatorem Stefanem Harniszem oparta była na mocnych podstawach. Po przybyciu do pułku Rylski otrzymał jednocześnie z przydziałem do 23 Eskadry Linjowej stałego obserwatora. Był nim Harnisz.

Okazało się, iż dobrali się znakomicie. Pierwsze miejsce w Centralnych Zawodach Lotniczych, mistrzostwo w strzelaniach i bombardowaniach — to były plony zwycięskiej zawsze załogi. Dając z siebie wszystko, nie ustępowali sobie w niczem. O ile Rylski słusznie uchodził za najlepszego pilota pułku, o tyle Harnisz dzierżył bezsprzeczny prym w gronie obserwatorów.

— Gdy lecę ze Stefanem, wiem, że dolecę zawsze, choćby wszystkie mgły Atlantyku rozsnuły się na trasie — mawiał pilot.

— Gdy mam Kazika za knyplem, żadne tornado nie zawróci mię z drogi — wtórował mu Harnisz.

W jakiś czas potem ogłoszono na odprawie rozkaz Szefa Aeronautyki, mówiący o przeszkalaniu obserwatorów w pilotażu.

Harnisz zgłosił się pierwszy na kurs. Od samego początku okazało się, iż latać będzie bardzo dobrze. Przechodził szybko pierwsze szkolne typy maszyn, dystansując o całe niebo innych kolegów.

Przyszły wkońcu „Potezy" i „Bréguety".

W dniu, w którym zdarzył się ów fatalny wypadek, Rylski obecny był akurat na starcie. Gdy przyszedł, Harnisz siedział już w kabinie, wysłuchując w skupieniu ostatnich wskazówek instruktora. Silnik terkotał na małym gazie, głaszcząc lekkim oddechem śmigła naciągnięte płótno pokrycia kadłuba.

Mechanicy zdjęli podstawki: długi tuman kurzu wywinął się z pod stateczników, dmuchnął potężnie w tył, zaczesując ku ziemi krótkie źdźbła murawy, zasianej gdzieniegdzie złotymi oczami mleczów. Aparat nabrał pędu i wolno dźwignął się w powietrze, trzymany przez pilota nad samą ziemią.

Rylski patrzył. „Bréguet" kładał się w ostry, duszony wiraż na wysokości może stu metrów. Lewe skrzydło schodziło niżej i niżej. Silnik tłukł śmigłem powietrze, wyjąc całą mocą swych 450 koni.

— Zwarjował — przemknęło przez głowę patrzącego pilota — wyprowadzajżeż do djabła!

Harnisz spóźnił się o ułamek sekundy. Samolot poszedł przez skrzydło na łeb i wyrwany nad samą ziemią, runął na skraju lotniska, zaczepiwszy podwoziem o wystającą główkę czerwonej latarni sygnałowej.

Gdy zajechała sanitarka pilot już nie żył. Straszna siła uderzenia wyrwała go z pasów i rzuciła na tablicę rozdzielczą. Zginął na miejscu.

Rylski odczuł wyjątkowo boleśnie śmierć Harnisza. Dopiero teraz uprzytomnił sobie, iż stracił nietylko kolegę, współtowarzysza tylu wspólnych lotów, ale naprawdę najserdeczniejszego przyjaciela.

———

Rozstawszy się z Wileckim, który śpieszył się do miasta, Rylski wolno skierował się ku wyjściu. Minąwszy szereg zamkniętych hangarów, w których drzemały bezczynne maszyny, wstąpił do kancelarji dowództwa Eskadry, aby przygotować sobie wszystko


Bez płynu TARR golenie jest połowiczne
Ceny flakonów: zł. 2, 3.50, 6 i 12
TARR ZAPOBIEGA ZAOGNIENIU, ZAKAŻENIU I PRĘŻENIU SKÓRY
SCHERK





Szef, starszy sierżant Zygier, ucieszył się na widok wchodzącego oficera.

— Był tu przed chwilą telefon z miasta — zaraportował — dzwonił jakiś pan i koniecznie chciał z panem porucznikiem mówić. Prosił koniecznie, żeby pan porucznik jutro nie leciał, bo będzie paskudna pogoda.

Rylski spojrzał zdziwiony na podoficera.

— Nie lecieć? A kto mówił?

— Prosił tylko powiedzieć, że mówił Stefan i położył słuchawkę.

Rylski wzruszył ramionami.

wa?

— Tak jest.

— Lecę jutro o szóstej. Bez mechanika. Sam.

———

Naciągając kombinezon pilot przejrzał raz jeszcze komunikat ze stacji meteorologicznej. Pogoda zapowiadała się niezła na całej trasie. Gdzieś na połowie drogi do Lwowa zachmurzenie było większe, ale na małej przestrzeni. Lekki wiaterek boczny nad samą ziemią.

Kołując do startu Kazik przypomniał sobie wczorajszy telefon. Kto to mógł dzwonić? Stefan? Jaki Stefan? Przebiegł szybko myślą wszystkich znajomych. Przecież chyba nie Janicki? — Znali się tak mało i w dodatku Janicki nie miał bladego nawet pojęcia o meteorologji. Mniejsza zresztą z tem.

Ostatni hangar, stojący z prawej strony lotniska, wpadł pod stateczniki i spłynął w dół. Samolot przechylony lotkami kładł się w głęboki wiraż, biorąc kurs na odległy o setki kilometrów Lwów.

— To tu właśnie rąbnął się Stefan, przypomniał sobie Rylski.

Nagła myśl zaświdrowała raptem w głowie pilota. Stefek! A może ten telefon był od....

— Idjotyzm — żżymnął się w duchu, też pomysły!

Barwna mozaika pól wolno sunęła w dole. Rozkrzyżowany cień płatowca biegł w dole, przeskakując wzniesienia i zielone plamy zagajników. Małe obłoczki stały nieruchomo nad głową, oświecone na brzegach złotym szlakiem promieni. Miarowy, rytmiczny głos silnika szumiał, drąc powietrze wygiętemi lekko, czarnemi łopatkami śmigła. Rozgrzane fale powietrza, unoszącego się nad żółtemi wydmami piasku, kołysały „Bréguela" ze skrzydła na skrzydło.

W połowie drogi do Lwowa horyzont zakołysał się szarymi strzępami. Zbliżywszy się do nich Rylski skonstatował ze zdziwieniem, że zapowiedziane w komunikacie zachmurzenie zmieniło się w porządną mgłę. Lecieć dalej, czy wracać? E, przecież skończy się to zaraz!

Po kilkunastu minutach ziemia zniknęła zupełnie z oczu pilota. Tumany mgły otoczyły samolot nieprzebitą warstwą, gęstniejąc zastraszająco z każdą chwilą.

ny skręt.

Starając się wyjść z mgły Rylski stracił zupełnie orjentację. Nie miał pojęcia, gdzie Lwów, gdzie Warszawa i dokąd leci. Sytuacja stawała się groźna. Lecąc nad samą ziemią, której i tak prawie że nie było widać, ryzykował w każdej chwili rozbicie się o jakieś wyższe drzewo lub chałupę. Mgła zawarła się wokół płatowca ze wszystkich stron. Gdy wychylony za burtę pilot starał się rozpaczliwie rozpoznać teren, poczuł nagle lekkie uderzenie w prawe ramię. Odwrócił się gwałtownie... i zdrętwiał. — Za nim w kabinie obserwatora stał Harnisz. Oparty o obrotnik karabinu maszynowego patrzył w dół, trzymając w ręku złożoną w kilkoro mapę. Zgniecione okulary zasunięte na oczy zasłaniały mu twarz, na której zastygły zczerniałe krople krwi.

Rylski miał wrażenie, że to jakiś makabryczny sen. Przeraźliwy strach opanował go całego. Tymczasem płatowiec zdarty ku górze tracił szybkość coraz bardziej. Rylski wyrównał machinalnie i czekał. Chwilami zdawało mu się, że Harnisz nie zginął wcale, że lecą razem tak jak jeszcze miesiąc temu.

Dwa kolejne dotknięcia w ramię wstrząsnęły nim raz za razem.

— W prawo, więcej w prawo!

Maszyna kładzie się na skrzydło, strzałka busoli zakreśla na tarczy łuk, pokazując kurs jakiś dziwny i nieprawdopodobny. — A może tak się tylko zdaje.

Wyciągnięta z tylnej kabiny ręka podaje kartkę.

— Leć na ten kurs, pułap 200 metrów, tam jaśniej.

Wolno płyną minuty na obojętnej twarzy zegara. Czarna wskazówka zastygła chyba na miejscu.

Rylski zatracił pojęcie czasu. Straszna trwoga uczepiła się kabiny, chwytając w swe szpony nieszczęsnego pilota.

— Co dalej, co będzie dalej? Lądować, lądować jak najprędzej, niech się dzieje co chce!

Ręka sama odpycha drążek. Aparat ślizga się w dół, rwąc na strzępy gęstą zasłonę oparów.

— Kto to dotyka pleców? Ach, prawda, to obserwator każe iść wyżej, przecież on prowadzi teraz maszynę.

Jakiś dziwny spokój zaczyna opanowywać pilota. Za nim w kabinie jest Stefan. Przeszłość i teraźniejszość zlewają się w umyśle Rylskiego w jedną całość, zatracając swe kontury.

— Harnisz zginął? To niemożliwe, przecież jest z nim razem, prowadzi go do Lwowa przez te mgły nieprzejrzane. Czego się lękać? Harnisz miałby zbłądzić??? Wykluczone!

Zapatrzony przed siebie długo nie widzi Rylski wyciągniętej z kartką ręki swego obserwatora.

— Za pięć minut będziesz nad Lwowem. Schodź śmiało i ląduj z lewego wirażu. Lotnisko wolne.

„Bréguet" strzela na zredukowanym gazie, wytracając łagodnie wysokość. Wierzchołki drzew, zasnute mgłą, migają w dole. Jeden hangar, drugi, jakaś maszyna przed nimi. Rylski zapomina na chwilę o niesamowitym towarzyszu, zajęty lądowaniem. Kilka ślizgów, ziemia jest tuż, zbliża się do podwozia, kółka dotykają powierzchni. Płoza drze murawę, wytryskują z obu stron strumienie piasku. Płatowiec zahamowany w pędzie kołuje pod hangar.

Rylski ogląda się. Kabina obserwatora jest pusta, tylko mapa szeleści na podłodze gondoli długim, rozwiniętym ogonem papieru.

Od sąsiedniego hangaru biegnie kilku żołnierzy, aby wtoczyć aparat w rozsuwające się na rolkach wrota.

Tak, to Lwów...




**Złote wesele**

**w zdrowiu i radości... Przeciw niszczącemu działaniu lat istnieje sposób prosty i wypróbowany: regularny tryb życia i właściwe pożywienie. Regularny tryb życia, to zachowanie harmonji pomiędzy pracą a odpoczynkiem; właściwe pożywienie to taki pokarm, który wnosi do ustroju najważniejsze składniki odżywcze, wzmacnia mięśnie i nerwy, usprawnia funkcje organizmu. Pokarmem takim jest Ovomaltyna Dra Wandera. Ten niezrównany, witaminowy napój odżywczy, powstrzymuje spadek sił u osób starszych, jest dobrze znoszony nawet przez starzejące się organy trawienia i, co najważniejsze, przyswajany z łatwością przez organizm. Ovomaltyna tworzy siły i energję i daje dobre samopoczucie. Dzięki zawartości diastazy, która posiada zdolność rozkładania węglowodanów w żołądku, nietylko sama Ovomaltyna jest łatwo przyswajalna, ale ułatwia ona również trawienie innych pokarmów**




**OVOMALTINE**

**ODŻYWKA ENERGIOTWÓRCZA**

*Tylko Ovomaltyna ma zalety Ovomaltyny!*

# Kiedy można nosić smoking dwurzędowy?



● Nieraz zaczynamy grać w bridża popołudniu, a kończymy późno w nocy i wówczas...

● Poniżej: Wybieramy się w towarzystwie pań do varieté i wówczas...



● Poniżej: Jesteśmy zaproszeni na cocktail-party w małem gronie i wówczas...

*...najodpowiedniejszym strojem będzie właśnie smoking dwurzędowy!*





Najnowszy model granatowego, dwurzędowego smokinga, odznaczający się nieco dłuższym, niż dotychczas stanem.

## Łamigłówki ★ mody ★ męskiej.

Smoking dwurzędowy od pierwszej chwili swego istnienia uchodził, zresztą zupełnie słusznie, za jedną więcej formę stroju oficjalnego. Znalazło się jednak sporo takich, którzy skłonni byli twierdzić, że ten nowy model smokinga został stworzony po to, aby wyrugować stary typ, jednorzędowy jako już opatrzony. Tymczasem twórcom nowego modelu chodziło tylko o wzbogacenie repertuaru ubraniowego mężczyzn przez wprowadzenie czegoś pośredniego między ciemną marynarką, a jednorzędowym smokingiem — czegoś, co tylko w specjalnych okolicznościach noszone być może. Oto te okoliczności i dla nich przeznaczony strój:

1) **Tylko dwurzędowy smoking:** Bridż, który znaczyna się już po południu. — Cockail-party przed godz. 20. — Przyjęcie wieczór w małem gronie. — Varietés i małe teatrzyki. 2) **Dwurzędowy lub jednorzędowy smoking:** Wieczór w klubie. — Teatry. — Wieczorem w dużej restauracji. 3) **Tylko jednorzędowy smoking:** Przyjęcie wieczór w większem gronie. — Proszony wieczór z tańcami.— Premjera w teatrze.

**BRUMMEL.**

XXII



# Estetyka rąk.





**Aby ręce straciły swą nieprzyjemną wilgotność kąpiemy je w zimnej wodzie z solą...**



**..poczem, po osuszeniu, pudrujemy je talkiem.**

Kosmetyka spełnia rolę realizowania postulatów estetyki w zakresie zagadnień, dotyczących kultury naszego ciała. Nie na ostatniem miejscu szukać tam będziemy zagadnienia estetyki rąk, tem więcej, że zaniedbania są tutaj bardzo powszechne i rażące, a stosunkowo łatwe do usunięcia bez specjalnych kosztów, zabiegów czy pomocy lekarskiej.

Pominąwszy sprawę czystości skóry rąk, której znaczenie podkreślamy w każdem naszem rozważaniu, natrafimy na niejeden mankament, wymagający interwencji kosmetyki. Jednym z nich to często spotykana wilgotność rąk, przykra dla danej osoby, niemniej jak i dla tych, którym podaje swą rączkę.

Stałą wilgotność rąk zwalczamy przy pomocy częstego zanurzania rąk do zimnej wody, w której rozpuszcza się niewielką ilość zwyczajnej soli kuchennej. Po osuszeniu rąk wyjętych z kąpieli, pudruje się je talkiem, który należy lekko wetrzeć w skórę.

Pielęgnacja rąk po wykonywaniu robót brudzących je, polega na zastosowaniu następującej mieszaniny: łyżka płatków mydlanych, garść otrąbków i garść mąki pszennej. Nacierać tem dobrze ręce w trakcie zmywania ich wodą.

Przy pracach ogrodniczych doskonałe wyniki daje stałe używanie otrąbków, których nie powinno zresztą brakować przy żadnej umywalni. Wieczorem dobrze jest stosować nacieranie rąk zwyczajną, ale dobrego gatunku oliwą, do której na ilość jednej łyżki stołowej dodaje się po kilka kropel cytryny i octu winnego. Przy wcieraniu nie omijać paznokci, a wykonywać je zawsze od końców palców ku dłoni. Przy tych zabiegach ślady pracy ogrodniczej, czy innych domowych czynności znikają z rąk jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

Także krem, który można przygotować w domu, wielce się przyczyni do zachowania estetycznego wyglądu rąk pań, które nie gardzą pracą przy ognisku domowem. Krem sporządza się z 50 gr olejku migdałowego, 20 gr wody różanej, 15 gr wody kolońskiej, łyżki mączki ryżowej, łyżki gliceryny, a wszystkie te składniki rozmieszać należy gładkiem drewnienkiem lub porcelanowym wałeczkiem i przechowywać w porcelanowym słoiku, dobrze zakorkowanym.

Inny przepis brzmi: 100 gr olejku różanego, 50 gr białego miodu, 15 gr proszku mydlanego, 20 gr tynktury benzoesowej i sok z jednej cytryny. Krem wciera się dokładnie w skórę, aby dobrze nasiąknęła, poczem przepłukać ręce letnią wodą.

Bardzo ważnem jest zagadnienie estetyki paznokci, nawet gdy pominiemy lub tylko zlekka napomkniemy o kolorze ich lakieru. Mając palce długie, można zastosować lakierowanie całego paznokcia, ale wygląda to korzystnie tylko przy wydłużonych palcach i szczupłej, długiej dłoni. Natomiast palce krótkie i mała dłoń, wymagają pozostawienia białego półksiężyca u nasady paznokcia, jakoteż nieznacznej obwódki naturalnej przy jego zakończeniu. Kolor lakieru do paznokci trzeba koniecznie dostosowywać do odcieni różu do warg i policzków, aby nie kłóciły się przykro ze sobą lecz mile harmonizowały.

Im zdrowsze są paznokcie tem ładniejszy ich wygląd pod lakierem. Utrzymując je w należytym stanie, nie przetrzymujmy lakieru dłużej nad parę dni, usuwajmy go dla wymoczenia paznokci w gęstym roztworze mydła i wyszczotkowania, co je wzmacnia i nie dopuszcza do tak często spotykanego nadłamywania się.

Po dokładniejszem wysuszeniu palców pociąga się paznokcie dobrym lakierem; to warunek konieczny, od którego nie odstępujmy. Lepiej zredukować użycie lakieru, pozostawiając co parę dni paznokcie w ich naturalnym stanie, niż okrywać je stale złym i fatalnie na nie działającym lakierem.

Elwira.

**Oto poszczególne fazy pielęgnacji paznokci: szczotkowanie paznokci, usuwanie narastającego naskórka, a wkońcu pokrywanie lakierem.**

## BUCZYŃSKA, LEITZKÓWNA I SZATKOWSKA NA TOURNÉE PO POLSCE





Wyjątkowym ewenementem artystycznym stały się dla miast prowincjonalnych występy świetnych tancerek Ziuty Buczyńskiej i Janiny Leitzkówny, które dobrawszy sobie utalentowaną balerinę w osobie Sabiny Szatkowskiej, odbywają we trójkę tournée po kraju. — Na zdjęciach od lewej: Z. Buczyńska w „Galopie" Liszta, J. Leitzkówna w „Fandangu" De Falla i S. Szatkowska w „Walcu" Czajkowskiego.

## METAMORFOZA J. SOKOŁOWSKIEJ



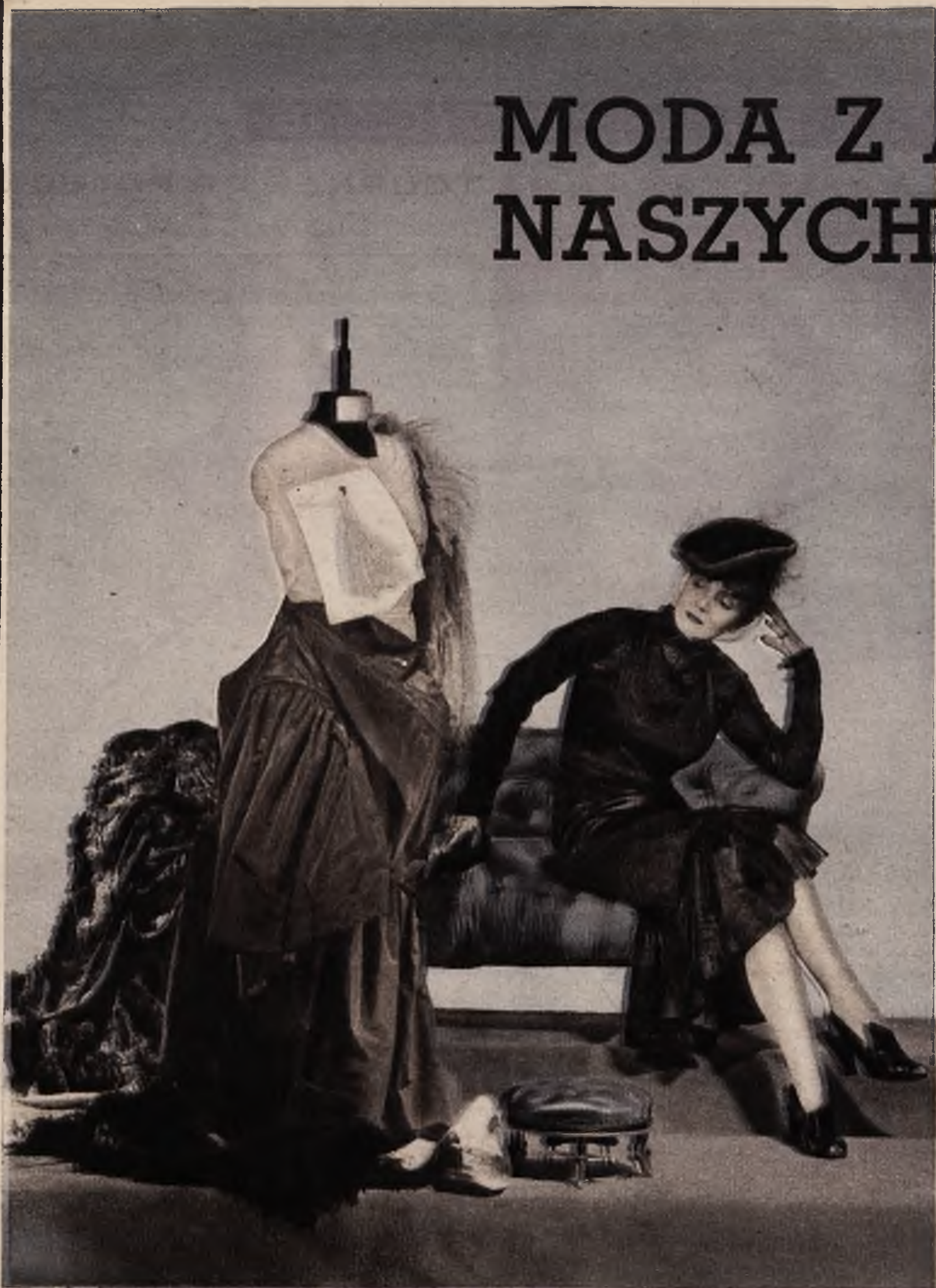
Znana artystka scen warszawskich, Janina Sokołowska, która dotąd odnosiła sukcesy w teatrach muzycznych kreując role o podkładzie wybitnie wokalnym, obecnie wystąpiła w roli charakterystycznej, odtwarzając na deskach teatru „Buffo" postać kucharki Weroniki w „Porwaniu Sabinek". Nowa ta rola daje Sokołowskiej okazję do wykazania, że jest mistrzynią charakteryzacji. — Widzimy to na umieszczonych obok zdjęciach: Sokołowska jako Weronika i Znicz w „Porwaniu Sabinek" — (w kole) Sokołowska „po cywilnemu".

## POKAZ MÓD T. O. M. W KRAKOWIE

Doroczny pokaz mód, urządzany przez ruchliwe Towarzystwo Opieki nad Młodzieżą zgromadził i ostatnio w sali wytwornego Grand Hotelu sfery towarzyskie Krakowa, które z zainteresowaniem śledziły przebieg rewji modeli nadchodzącego sezonu zimowego. Na zdjęciach poniżej: Dwa momenty z ostatniego pokazu mód T. O. M. **Fot. „As".**




# MODA Z ALBUMÓW NASZYCH PRABABEK



„Nil novi sub sole" powiedział ten, którego imię pozostało symbolem mądrości — król Salomon. Słowom tym, wbrew niewyczerpaną fantazję i pomysłowość, starała się Pani Moda usilnie zadać kłam, ustawicznie dążąc do stworzenia czegoś nowego, czegoś dotąd niespotykanego.

Przeglądnąwszy pierwsze lepsze dzieło kostjumologiczne, musimy stwierdzić, że udawało się jej to nienajgorzej. Od listka figowego — biblijnego „praojca" stroju niewieściego — poprzez skóry lamparcie, greckie, tuniki i rzymskie peplum, poprzez powłóczyste i surowe szaty średniowiecza, złotolite „roby" renesansu, szumiące falbanami, wyściskane w talji tualety rokoka, powiewne, antykizujące robes-chemises epoki napoleońskiej, poprzez wszystkie tiurniury, gipiury, fiszbiny i krynoliny wieku dziewiętnastego — aż po powojenne opłakane w ubóstwie pomysłów, kolan ledwie sięgające sukienki nowoczesnych garsonek, przepasane naprzekór naturalnej linji stanu gdzieś nisko, niemal poniżej bioder — aż do pięknych, pełnych harmonji i czysto kobiecego wdzięku sukien dzisiejszych, w których za rok, dwa odkryjemy zapewne szereg wad i usterek, dziś jednak zachwycamy się niemi bez zastrzeżeń. Wystarczy, że są modne!

Musimy przyznać, że w tej galerji kreacyj mody, stworzonych nietyle dla okrycia nagości, lecz przedewszystkiem dla ozdoby i uciechy niewieściego — a pośrednio i męskiego — rodu, trudno uskarżać się na monotonję, na brak odmiany. Każda epoka przynosiła coś nowego, zmieniając zasadniczo charakter sylwetki kobiecej, modelując dowolnie jej przyrodzoną figurę — podkreślając coraz to inne szczegóły jej urody. Mody szły wówczas epokami, stylami — rozciągającymi się niejednokrotnie na kilka dziesiątków lat. Tem się tłumaczy, że w „zasobnych" rodzinach, córki dziedziczyły po matkach nietylko srebra, biżuterje czy sprzęty domowe, lecz i bieliznę i suknie, które po najdłuższem życiu przekazywały znów zkolei swemu potomstwu.

Już w XIX wieku moda przyśpieszyła nieco tempa, szczególnie gdy zamieniła staroświecki dyliżans na pociąg parowy. Ale gdy nadszedł wiek dwudziesty, wiecznie się spieszący, zaaferowany, żądny zmian — i postawił do dyspozycji Pani Mody najprzód samochód, potem lux-torpedę i samolot — babina wprost oszalała! Uderzyło jej do głowy zawrotne tempo naszej epoki i — na wzór rekordzistów sportowych — postanowiła prześcignąć samą siebie. Już nie na dziesiątki miesięcy — lecz wprost na tygodnie. W kwietniu lansowany kolor, w czerwcu stawał się już przeżytkiem; pionowo ku sierpniowemu niebu postawione na kapeluszu piórko, skłaniał wrześniowy wiatr już dla odmiany poziomo. Kobiety, nie czekając końca zimy, dorwawszy się kapeluszy słomkowych, już w czerwcu zamieniały je na aksamity i filce, przeskakując pory roku, ignorując kalendarz — a nawet zdrowy sens.

Nic dziwnego, że przy takiej gospodarce coraz trudniej było o nowość i repertuar pomysłów zaczął się pomału wyczerpywać. Chcąc nie chcąc, trzeba było tęsknem okiem rzucić w przeszłość i próbować ją wskrzesić na „nowoczesnym sosie". I to jest ten ostatni, „szlagierowy", niewidziany pomysł Pani Mody, którym zadziwiła świat i oczarowała kobiety! A że skarbiec kostjumologiczny przeszłości jest przebogaty, można było naraz wydobyć z niego niejeden, ale dziesiątki pomysłów. Nowoczesność nie dba o historyczne metody i kpi z chronologji. Pomieszała więc style, wybrała z nich

Powyżej: Tegoroczna moda wraca do tematów z ostatnich lat ub. stulecia.
Fot. Imre v. Santho.





Na prawo: Trzy ćwierci wieku dzieli to kreacje. Trudnoby zgadnąć, która z nich jest stara, a która nowoczesna.

**Poniżej: Dwie epoki — jeden styl. Na lewo: rok 1873 — na prawo: rok 1938. Linja i wyraz podobny, a jednak niema mowy o niewolniczem naśladownictwie.**





**Na prawo: Jak z macquart'owskiego wnętrza wyjęta, prezentuje się ta sylwetka w długiej taftowej sukni, ozdobionej falbanami.** Fot. Imre v. Santho.



bezceremonjalnie to ten, to ów szczegół i pozwoliła nareszcie kobietom na prawdziwą indywidualność stroju.

Tegoroczna zima przyniosła przedewszystkiem renesans strojów dziewiętnastego stulecia i okresu przedwojennego. Wyblakłe dagerotypy wyszły z zakurzonych albumów i stały się wzorami, na których kanwie moda dzisiejsza haftuje swoje kapryśne arabeski. Niema mowy — rzecz jasna — o niewolniczem naśladownictwie. Stare modele przestylizowuje się, koryguje i interpretuje w stylu zgoła nowoczesnym, zachowując jedynie ich ogólną linję. Umyślna ich „staroświeckość" staje się ich pikanterją, wyzyskując efekty kontrastów i pozornych sprzeczności.

Ożyły portrety impresjonistów francuskich, ba, nawet damy z arystokratycznych portretów Winterhaltera zeszły między nas. Szerokie, szumiące spódnice i strusiemi piórami powiewające „tricorny" cesarzowej Eugenji, sztywne taftowe suknie, falbany, riusze, wstążki, dyskretnie zaznaczone triurniury, zarękawki i futrzane „jupki", nisko z ramion opuszczone dekolty, długie rękawiczki i wachlarze, boa ze strusich piór i piękne „pleureuse'y", wysokie, na guziczki zapinane buciki, wualki i powiewne welony, cylinderki amazonek i „stroiki" z tiulu, koronek i piór na wysoko nad czołem spiętrzonych fryzurach — to wszystko, choć trąci historyczną myszką, stało się repertuarem mody 1938.



**Na prawo: To nie kopja jakiegoś dagerotypu, lecz nowoczesna balowa tualeta.**

**Rysunki: Ewa Leo.**

A cóż na to kobiety? Naogół pomysł ten wydaje im się zabawny: upodobnić się nagle do własnej prababki czy babki z portretu, to coś nowego. Zrazu nieśmiało, potem coraz chętniej poddają się nowym nakazom mody, wydobywają z kufrów dziedziczne skarby: pióra, wachlarze, koronki i wstążki.

Można nawet przewidywać, że odsłoniwszy nisko ramiona, zapragną je wzorem naszych prababek — mieć je krągłe i spadziste, nie ambicjonując się już w kierunku wysportowanej i muskularnej sylwetki nowoczesnej amazonki. Może — w ślad za modą — powrócą do kobiecości miększej, uczuciowszej i subtelniejszej w wyrazie? Może pod romantycznymi loczkami najmodniejszej fryzury rodzić się zaczną i romantyczne marzenia, które trzeźwa kobieta nowoczesna tak dawno już wraz z piórami i staroświeckimi drobiazgami odłożyła do lamusa? Może....?

Na te pytania odpowie nam najbliższa przyszłość. Kobieta zmienną jest — wiemy o tem wszyscy. Toteż nie bawmy się w proroctwa, bo wszystko łatwiej przewidzieć, niż to, co ona zrobi lub wymyśli.

**Lady Like.**

# PRZEPISY

## *odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3—4 osoby.*

**ZUPA FRANCUSKA „PRINCESSE".** Do zwykłego rosołu ugotowanego z kawałka wołowiny i ćwiartki kury, dodaje się do wazy parę łyżek ugotowanego zielonego groszku oraz pulpety sporządzone według następującego przepisu: mięso obrane z ugotowanej ćwiartki kury, miesza się wraz z małą bułeczką, rozmoczoną w mleku, następnie dodaje się żółtko utarte z łyżeczką masła rakowego, wkońcu pianę z białka i łyżeczkę tartej bułki. Z masy tej formuje się małe podłużne pulpetki, które się rzuca na wrzący rosół i gotuje pod przykryciem, aż spłyną na wierzch i podrosną, wtedy wylewa się wszystko do wazy, w której znajduje się, jak wyżej podano, trochę zielonego groszku. Osobno podaje się parmezan.

**SZTUKA MIĘSA ZAPIEKANA W BESZAMELU.** Łyżkę masła roztopionego rozciera się na ogniu z kopiatą łyżką mąki i zalewa szklanką kwaśnej śmietany, dodaje po troszce soli i cukru, łyżeczkę soku cytrynowego i otartej skórki, zagotowuje szybko i podprawia dwoma żółtkami. Gęstym tym sosem, przesmarowuje się sztukę mięsa, pokrajaną w plastry i wstawia na parę minut do gorącego piecyka.

**SOS WŁOSKI DO RYB.** Łyżkę roztopionego masła zasmaża się z łyżką mąki, rozprowadza rosołem z wygotowanych odpadków ryby, lub o ile ryba była gotowana na niebiesko, rosołem z pod tej ryby, zagotowuje sos aby był gładki i wsypuje dwie łyżki tartego sera szwajcarskiego, odsuwa z ognia, miesza dokładnie, kontroluje czy dość słony i polewa rybę na półmisku. Sos ten stosować można do ryby gotowanej lub pieczonej. Do tej ostatniej podaje się sos osobno w sosjerce.

**RYDZE DUSZONE.** Młode czysto obrane rydze, wypłukane i osączone z wody, wrzuca się na gotujące masło z dodatkiem małej drobno posiekanej cebuli. Przykrywszy, smarzy się na silnym ogniu, potrząsając rynką, aby się nie przypaliły, następnie soli się je, dodaje też szczyptę pieprzu i dusi na wolnym ogniu przez 30—40 minut. Wydaje się je obłożone tartymi ziemniaczkami.

**RYDZE PIECZONE.** Opłukane główki rydzów obsusza się na serwecie, następnie posypuje solą, macza w roztopionem maśle lub oliwie, układa na patelni i wstawia do gorącego piecyka na 10 minut, poczem się je odwraca i wstawia jeszcze na kilka minut do piecyka. Wydaje się polane masłem wymieszanem z siekaną zieloną pietruszką.

**STEK BARANI.** Comber barani kraje się w plastry na dwa palce grubości, zbija je pałką, smaruje oliwą i odstawia na parę godzin. Stek smaży się jak befsztyk tuż przed wydaniem na bardzo rozpalonem maśle, aby pozostał soczysty, a w przekroju różowy. Podając, kładzie na każdym kawałku plasterek masła sardelowego. Półmisek garniruje się słupkami ze szpinaku i zielonego groszku, kalafiorem, szparagami i pommes frites. Osobno podaje się ostry sos „Bearnaise". Przepis na sos: Dużą cebulę parzy się wrzącą wodą, następnie trze na tarle. Dodaje soli i pieprzu, zalewa paru łyżkami rosołu i dusi przez kilka minut. Osobno ubija się na parze 2 żółtka, 2 łyżki octu i tyleż wody i miesza po zgęstnieniu z cebulą.

**BUDYŃ HOLENDERSKI.** W $^1/_4$ litrze mleka rozgotowuje się 10 dkg czekolady z kawałkiem wanilji. 3 żółtka i 1 całe jaje ubija się z 4 łyżkami mleka i łyżką cukru na parze, tak długo, aż się utworzy gęsty krem, wtedy miesza się go z ugotowaną czekoladą i dodaje pianę z 2 białek. Dużą formę budyniową, natartą masłem i wysypaną cukrem, wykłada się cienkimi plasterkami babki lub strucli, przesypując rodzynkami i tłuczonymi z cukrem orzechami. Formę napełnioną w $^3/_4$ wysokości, zalewa się przygotowanym kremem czekoladowym, zamyka wieczkiem, wstawia do gotującej się wody i gotuje przez 35—40 minut na parze. Podaje się na ciepło, osobno szodo waniljowe, lub sok malinowy.

**SOK Z ŻURAWIN** sporządzać można do przechowania na surowo lub też gotowany. Surowego używa się na kisiele i zupy, również użyty do herbaty, zastępuje z powodzeniem cytrynę. Sok te sporządzać należy późną jesienią, kiedy żurawina jest trochę przemarznięta. Wymyty i przebrany owoc, zesypuje się do kamiennego garnka i wstawia po obiedzie do ciepłego piecyka. Pod wpływem ciepła wytwarza się sok, który się scedza przez muszlin wolno zawieszony bez używania siły do wyciskania. Sok zlewa się na surowo bez cukru do czystych flaszek, korkuje je i zalewa smółką, poczem zestawia do suchej a zimnej piwnicy. Do gotowania soku bierze się na litr soku 1¼ kg cukru. Po rozpuszczeniu się cukru w soku, gotuje się przez 15 minut od chwili zagotowania licząc, przyczem zbiera się pilnie szumowiny zbierające się na powierzchni. Dalsze postępowanie jak przy soku surowym.

Sc. Ko.

# NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Wyciskacz do owoców jest sprzętem nieodzownym w domowem gospodarstwie, należy jednak posługiwać się najpraktyczniejszym modelem. Taki właśnie widzimy na naszem zdjęciu: jednym ruchem ręki można wycisnąć sok z połowy cytryny, pomarańczy, czy też grape-fruitu.

# 7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

*Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.*

Tydzień 44

## Październik

31 dni



| Dzień | Menu |
|---|---|
| NIEDZIELA 23 Jana Kapistr. | Zupa ragoût z drobiu. Paszteciki francuskie z móżdżkiem. Indyczka z kompotem. Krem brulée. Kolacja: Zimna indyczka z sałatą. |
| PONIEDZ. 24 Rafała Arch. | Rosół "Julienne". Sztuka mięsa zapiekana w beszamelu. Budyń holenderski. Kolacja: Rydze duszone. |
| WTOREK 25 Kryspina | Zupa szczawiowa z jajami. Pierożki z mięsem. Stek barani z jarzynkami. Jabłka smażone w cieście. Kolacja: Ozorki cielęce w pomidorach. |
| ŚRODA 26 Ewarysta | Zupa pomidorowa z groszkiem ptysiowym. Brukselka z masłem. Zrazy bite zwijane z grzybami. Strudel z serem. Kolacja: Kotleciki baranie z rusztu. |
| CZWARTEK 27 Sabiny | Zupa francuska z parmezanem. Faszerowana kapusta. Kuropatwy z brusznicami. Tort chlebowy z jabłkami. Kolacja: Kalafior i brukselka z masłem. |
| PIĄTEK 28 Tadeusza | Zupa kalafiorowa z ryżem. Jaja sadzone na śmietanie. Karp na niebiesko z makaronem. Knedelki bułkowe z marmoladą. Kolacja: Pierogi z kapustą. |
| SOBOTA 29 Narcyza | Rosół z kaszką. Sztuka mięsa z sosem ogórkowym. Bigos z kapusty i baraniny. Kompot mieszany. Kolacja: Rizotto na podróbkach. |



# HOCKI-KLOCKI

## *Rozwiązania z Nru 42-go.*

**ZAGADKA Z XVII WIEKU.**

Przy puszczeniu wody przez wszystkie cztery otwory basen napełni się po 6 godzinach 24 minutach.

**ILE KWADRATÓW?**

Kwadratów jest 35.

## ROZRYWKI UMYSŁOWE

**NUMER SAMOCHODU.**

Profesor Ułamek „zgubił“ swój samochód; gdy przyszedł do komisarjatu, aby zawiadomić o swej stracie, nie mógł sobie w żaden sposób przypomnieć jego numeru. Wiedział tylko, że liczba była czterocyfrowa.

„To już coś znaczy, ale może pan potrafi sobie przypomnieć chociaż jedną cyfrę — rzekł uprzejmie policjant. Profesor zamyślił się głęboko i po chwili wykrzyknął: „Ach tak, przypominam sobie; przecież wczoraj w związku z numerem mego samochodu rozmawiałem z córką o czynnikach“.

„O czynnikach?“ — zdziwił się policjant.

„Tak — odparł profesor — numer mego samochodu ma dość wiele czynników. Wczoraj mówiłem córce, że jeśli 3 z tych czynników po dodaniu do siebie dają 100, to wówczas można je dobierać w różny sposób. Czy rozumie pan? Przypuśćmy, że numer mego samochodu jest n.

„N“? — zdziwił się znowu policjant.

„Tak, N. Otóż wówczas ax, by i cz są sobie równe i każde z nich równa się n, zaś a, b, c mogą być tak dobrane, że a + b + c równa się 100, tak, tak i liczba o takim doborze cyfr (w przypadku mego samochodu) może istnieć. A moja córka zauważyła, że x + y + 2 równa się iloczynowi 4 liczb i to liczb pierwszych. Suma tych 4 liczb — i to jest b. ciekawe — jest o 1 większa od a oraz o 1 mniejsza od b. No, tak, już wiem, jaki jest numer mego samochodu!“ — wykrzyknął radośnie profesor.

Jaki jest numer samochodu profesora? (Jedna z czterech liczb pierwszych równa się 2).

**SPOWIEDŹ WIĘŹNIA.**




— Czy jesteś żonaty?
— Ale gdzież tam! za bardzo kocham wolność... („Ric et Rac“).

**DODAWANIE.**

```
+ . . .
+ . . .
+ . . .
+ . . .
-------
 2 3 7 7
```

Zdawaćby się mogło, że wobec braku dodawanych liczb sprawdzenie bezbłędności dodawania jest niemożliwe. Jeśli jednak wiadomo, że każda zastąpiona kropką cyfra jest o 1 mniejsza od cyfry stojącej pod nią, zaś 9 stoi nad 1, to zrekonstruować całe działanie nie trudno.

**KWADRAT MAGICZNY.**

W kwadrat o dziewięciu polach 3×3 należy wpisać liczby 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9 i 10 w ten sposób, aby suma liczb w każdym rzędzie pionowym, poziomym i na obu przekątniach wynosiła 18.









*Dokończenie ze str. 5-tej.*

rytasy“. Na nogach wysokie buty w „harmonijkę“, wycinane górą na sposób węgierski. Czapka futrzana na głowie, okrągła, płaska, która przez swoje podobieństwo do kamienia od żaren, przez zazdrosnych sąsiadów była złośliwie nazywana żarnami. Albo też strój kobiecy: te koszule z cieniutkiego, białego płótna, z bufiastymi, sięgającymi do łokcia rękawami, silnie marszczone pod szyją i spięte ozdobną, srebrną, a czasem nawet pozłacaną spinką. Spódnica niezmiernie fałdzista, ciemna, z błękitną jedwabną wstęgą, naszytą u dołu, kokieteryjny gorsecik — „żywotek“ z ciemnego aksamitu, bogato obszywany po krajach złotemi lub srebrnemi szerokiemi taśmami i wspaniałym, ręcznie wykonanym, złotym haftem, który przypomina najszlachetniejsze barokowe ornaty. Dumą zamożnej mieszczki jabłonkowskiej jest wspaniały pas, misternie ze srebrnych łańcuszków wykonany, który stanowi rodzinny klejnot, przechodzący z matki na córkę i ważną część składową wyprawy ślubnej panny młodej. Mężatka wkładała na głowę delikatny czepeczek koronkowy, zachodzący na czoło, najzamożniejsze zaś wspaniałe czepce — złotogłowie, zdobne pękiem kosztownych wstążek. Osobliwością niewieściego stroju na Śląsku są czerwone na drutach wykonane pończochy, o frapującej długości, dochodzącej do półtora metra, które kobiety zwijają na łydce, w formie gęstych „obwarzanków“ tak, że nadmiernie gruba łydka budzi zdumienie niewtajemniczonych. Skromniejszy bez porównania jest wałaski strój górali. Wprawdzie kobiety ubierają tam już pozłociste żywotki i bogatemi wstęgami obszywane spódnice, na wzór mieszczek jabłonkowskich, ale w ludowym stroju męskim panują jeszcze niepodzielnie samodziałowe wełniane spodnie „wałaszczoki“, brązowe hunie, czerwone, sukienne „Bruclikí“, żywo przypominające strój górali z Istebnej, podobnie jak one ozdobione wełnianymi chwościkami, zwanymi w miejscowej gwarze „kamelhor“. Zaginęły jedynie kapelusze filcowe, białe, z szeroką kresą, do góry podwiniętą, które grupa Zalzan, występująca na zjeździe górskim w Nowym Sączu zastąpić musiała zielonymi, harcerskimi kapeluszami, z orlem piórem, junacko zatkniętem ponad uchem. Jak wszyscy karpaccy górali, od Czeremoszu po ostatnie zbocza polskich Karpat, górale śląscy lubują się w zdobnictwie. Wrodzona im chęć wyniesienia się nad drugich, zaimponowania otoczeniu, powoduje, że nacokolwiek rzucimy okiem, czyto będzie czerpak drewniany do żętycy, czy wóz, czy skrzynia, albo też misa gliniana lub dzbanek do noszenia strawy, wszystko to musi być w jakiś, bodaj prymitywny sposób ozdobione. Na halach w chwilach wolnych od zajęć odbywają się istne turnieje rzeźbiarzy wiejskich, którzy rzeźbiąc równocześnie starają się jeden drugiego prześcignąć w bogactwie pomysłów zdobniczych i w pięknem wykonaniu. Każda dziewczyna stara się mieć pięknie rzeźbioną prześlicę, w przeciwnym razie znaczyłoby, że żaden chłopiec nie ubiega się o jej względy.

Jednym z najważniejszych ośrodków, gdzie koncentrowała się sztuka zdobnicza górali śląskich był Jabłonków, który stanowił obok Cieszyna główne centrum sztuki złotniczej i wyrobów zdobiących stroje ludowe, jak opisane wyżej pasy, guziki przy stroju jabłonkowskim, spinki noszone przez kobiety i tym podobne. Tu również było źródło, z którego rozeszła się po Śląsku szeroką falą umiejętność wykonywania koronek klockowych, igiełkowych i szydełkowych, które obecnie do swego stroju a nawet na sprzedaż wykonują kobiety śląskie.

Piękna legenda góralska opowiada, jak raz Pan Jezus, idąc przez Karpaty rzucał po drodze pestki wiśniowe. Z pestek tych wyrosły grupy polskich górali karpackich. Dotąd liczono ich trzydzieści cztery. Teraz wielka ta rodzina powiększyła się o bratni ród górali z za Olzy, tak długo czekających na powrót do Macierzy.

**Witold Zbierowski.**

# O tak! – to warto

## zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



## NA SCENIE

**WARSZAWA.** Nowo otworzony teatr Buffo wystąpił z przeróbką **„Porwania Sabinek"** — pióra Tuwima. Rzecz obfituje w aktualne wstawki, dowcipy i scenki. Pyszną figurę dał Węgrzyn (dyrektor teatru). Wyborny był też Znicz jako profesor łaciny. Pozatem dobrze spisali się pp. Janina Sokołowska, Gruszecka, Tiche, Irena Górska, Skoneczny, Borowski i Wyspiański. Reżyserja p. J. Warneckiego.

Teatr Polski zaprezentował publiczności stołecznej po raz pierwszy komedję greckiego pisarza współczesnego, wielkiego przyjaciela Polski, Spyros Melasa p. t. **„Papa Nikoluzos"**. — Znakomitą kreację stworzył w niej Kurnakowicz. Pozatem wyróżnili się pp. Kreczmar, Borowska, Dorwski, Buszyński, Zeleński, Bohdańska, Niczewska. Reżyserja Wiercińskiego.

W teatrze Malickiej wystawiono komedję Lothara z muzyką Aschera p. t. **„Odrobina miłości"**. Trzeba zanotować role pp. Iny Benity, Ruszkowskiego, Nestorówny, Nowackiego, Stojowskiej. Dekoracje p. Kurmana.

**KATOWICE.** W reżyserji p. M. Godlewskiego i w oprawie dekoracyjnej p. J. Jarnutowskiego wystawił teatr im. Wyspiańskiego sztukę lwowskiego dramaturga, Kazimierza Brończyka pt. **„Król Stefan"**. Postać Batorego odtworzył p. Zygmunt Tokarski, rolę Samuela Zborowskiego p. Janusz Snay, kanclerza Zamoyskiego p. Marjan Godlewski. P. Irena Szabelakówna wystąpiła jako Gryzelda Batorówna, a p. Bronisława Bronowska jako Anna Jagiellonka. Z reszty zespołu należy wymienić p. Konstantego Tatarkiewicza w roli prymasa.

**POZNAŃ.** W Teatrze Polskim ujrzeliśmy sztukę Alfreda Gerhiego pt. **„Szósto piętro"** w reżyserji dyr. Stomy. Stronę dekoracyjną widowiska opracował p. Z. Szpingier. Z pośród wykonawców wyróżnili się pp. Z. Noskowski, Szyszko-Bohuszówna, Z. Barwińska.

## NOWE KSIĄŻKI

**Dr Jan Fenczyn: „Podręcznik pielęgnowania chorych w chorobach wewnętrznych". Kraków, 1938. Nakład Friedleina.** Dawno już dawała się uczuć potrzeba książki naprawdę praktycznej i dostępnej dla szerokiego ogółu, a informującej jak należy postępować przy pielęgnowaniu chorych. Autor napisał swą książkę niezwykle dostępnie, tak, że może być ona zrozumiana naprawdę przez każdego inteligentnego człowieka, choć nie specjalistę i nie lekarza. Chodzi o to, aby poinformować pielęgniarkę i najbliższe otoczenie pacjenta, jak z nim postępować, jak nieść mu pierwszą pomoc, względnie jak wykonywać polecenia lekarza. Książka podzielona na liczne rozdziały, obejmujące każdy osobne schorzenie, daje również ogólny pogląd na powody tych chorób, ich przebieg, ich objawy, a następnie zajmuje się ich leczeniem i pielęgnacją. W zakres książki wchodzą więc choroby narządów pokarmowych (żołądek, jelit żenia, więc serca, żył itd. przewodów pokarmowych (żołądek ,jelit itd.). wkońcu narządów moczowych (nerki) i wiele innych. Niezwykle praktycznie i zwięźle ujęte informacje są więc właściwem uzupełnieniem porad lekarza dla pacjenta, który przebywa w domu lub poddany jest opiece pielęgniarki. JGM.

**A. T. Hobart: „Rzeka przeznaczenia". „Książnica-Atlas".** Zwykle z pewnem niedowierzaniem bierzemy do ręki książkę, tembardziej, jeśli jest ona tłumaczona, pisarza, którego nazwisko nic nam nie mówi. Niewątpliwie i **„Rzekę przeznaczenia"** wielu weźmie do ręki z tem samem uczuciem — ale już po pierwszych kartkach zacznie przeżywać rozkosz dodatniego rozczarowania. **A. T. Hobart**, to kobieta i to przypuszczalnie Amerykanka, w każdym razie pisarka anglosaska. Nie wiemy o niej nic — ale po przeczytaniu tej powieści, wydanej pięknie i starannie przez **„Książnicę-Atlas"**, wiemy już jedno: że jest znakomitą pisarką. W powieści tej przedstawione mamy Chiny, tę ich część, która leży nad Rzeką Niebieską, rzeką Jang-cy-kiang, demonicznie nastawione wierzenia żółtej masy, ich tradycjonalizm, ich ksenofobja doprowadzona do szału nietylko dlatego, że obcy są przybyszami, ale dlatego, że urządzeniami swemi i projektami mogą rozzłościć bóstwa, te demony, które kryjąc się wszędzie kierują życiem, a najwięcej ich jest właśnie w rzece życia i śmierci, w rzece karmiącej i zabijającej — Jang-cy-kiang... Autorka szybkiemi a dosadnemi rzutami kreśli charakterystykę Chin w ostatnich latach mniejwięcej czterdziestu — a więc od ostatnich lat cesarstwa po pierwsze lata rządów nacjonalistycznych i wpływów komunistycznych. Na tem tle maluje postacie z wspaniałą wyrazistością. Charakter chiński odrysowany drobiazgowo i czule z wszystkiemi potwornościami i całą szlachetnością, jako przedziwny melanż wschodu. Powieść ta nie jest jednak powieścią o duszy chińskiej — to jej tło tylko. Jest ta powieść pomnikiem na cześć bohaterstwa pioniera amerykańskiego, który zdecydował się na wypowiedzenie wojny rzece i ludziom celem wprowadzenia tam cywilizacji. Wypuszcza on na tę niebezpieczną rzekę parowce, ażeby przez więzy handlu, stawianego przez niego na ołtarzu cywilizacji, zbliżyć dalekie tereny, podnieść zasobność tysięcy biedaków, usprawnić życie. Walczy z rzeką i ludźmi przez kilkadziesiąt lat, w tym duchu wychowuje syna, który walczy z nim razem, skoro tylko dorósł. Po klęskach — zwycięstwa, po zwycięstwach — klęski przechodzą nad szumiącym nurtem Rzeki Niebieskiej, by wkońcu obalić pionierów. Ale wysiłek ich nie poszedł na marne. Dzisiaj w każdym podręczniku przeczytać można o tych miejscowościach nad Jang-cy-kiang, gdzie są porty żeglugi parowcowej. Wysiłek pionierski wydał owoce. Nie wiem zresztą, czy autorka malując swych amerykańskich bohaterów wzorowala się na jakimś historycznym przykładzie. Ale to wszystko jedno. Powieść niezwykła. od której doprawdy trudno się jest oderwać. **W. Z.**

## NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

**Niedziela, 23 października.**

12.03 Poranek symfoniczny z Katowic
16.30 Recital skrzypcowy Maxa Struba.
17.30 Podwieczorek przy mikrofonie.
**20.30 Koncert światowy z Kanady.**
21.10 Transmisja fragmentów międzynarodowego meczu piłkarskiego Polska—Norwegja.
22.00 Muzyka taneczna z Poznania.

**Poniedziałek, 24 października.**

16.30 „Sylwetki kompozytorów polskich".
17.30 Litwa współczesna — reportaż.
17.45 Billy Mayerl: Akwarium — suita — koncert z płyt.
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.00 Józef Marx: Trio — Fantazja.
22.00 Rozwój symfonji — audycja muzyczno-słowna.

**Wtorek, 25 października.**

16.25 Recital fortepianowy Zygmunta Lisickiego.
17.10 Nicolo Paganini: Kwartet D-Dur — koncert.
17.30 „Z pieśnią po kraju".
19.00 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Małej Orkiestry PR.
**22.15 Recital śpiewaczy Mercedes Capsir.**
22.40 Literatura słowiańska Mickiewicza w nowem wydaniu, szkic literacki.

**Środa, 26 października.**

16.30 Koncert solistów.
17.20 Pod wtór gitary — audycja słowno-muzyczna.
19.00 Koncert rozrywkowy.
21.45 Poezja Wieku Złotego — audycja literacka.
22.00 „Muzyka kameralna od Haydna do Ravela".

**Czwartek, 27 października.**

16 35 „W muzykalnym domu" — audycja muzyczna.
17.30 Nasze pieśni — koncert w wyk. H. Zboińskiej-Ruszkowskiej.
19.00 Koncert rozrywk. ze Lwowa.
21 10 Komedja A. Fredry „Odludki i poeta" — (wiecz XIII).
22.00 Najpiękniejsze kwartety i kwintety klasyków wiedeńskich — koncert.
23.05 Koncert muzyki polskiej.

**Piątek, 28 października.**

16.30 Pieśni ludowe w wykonaniu chóru chłopców Szkoły Powszechnej nr. 5.
17.00 Koncert kameralny.
18.30 Opowiadanie marynarskie: „Na pokładzie „Latającego Holendra" — audycja słowno-muzyczna.
19.15 Koncert muzyki lekkiej.
21.15 Fragm. z opery „Faust" — ks. A. Radziwiłła.
22.30 Ludwik van Beethoven: Sonata fortepianowa A-Dur.

**Sobota, 29 października.**

16.30 Recital śpiewaczy Edwarda Bendera.
17.10 Koncert orkiestry Rozgł. Wileńskiej.
19.30 Rewje, film, operetki — koncert rozrywkowy.
21.00 Polska Kapela Ludowa — F. Dzierżanowskiego.
21.55 Godzina niespodzianek.

**Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca**

**Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.**

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.